BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

Dni Oświaty, Książki i Prasy

Wychodzi od 1933 r.

Kamena

LUBLIN 9.V.1971 Nr 10 (469) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

Za witryną księgarstwa

Maciej Podgórski

OKAZJI uroczystych u nas nie brakuje, takich choćby jak Dni Oświaty, Książki i Prasy, które zresztą wydają mi się jedną z sympatyczniejszych uroczystości i jedną z najbardziej uzasadnionych, jako że mają m. in. ożywiać społeczne zainteresowanie książką, z czym w naszym kraju — wbrew pozorom — nie zawsze bywa najlepiej. Z jednej bowiem strony mamy wprawdzie do odnotowania przeszło 3,5-krotny wzrost produkcji książki w stosunku do okresu przedwojennego, zaś wskaźniki produkcyjne stawiają nas w tej dziedzinie co najmniej pośród krajów świata należących do średniej grupy wydawniczej, z drugiej jednak strony — jak powiada fachowiec — „wskaźniki (sprzedanych książek lub wydatków na książki, przypadających na obywatela) są dla Polski w porównaniu z innymi krajami, szczególnie w ostatnich latach, bardzo niskie. (...) Kiedy ten problem zaczynamy rozpatrywać w przekroju wieś — miasto, obraz staje się jeszcze bardziej pesymistyczny" (S. Siekierski, Recepcja literatury pięknej na wsi; Instytut Książki i Czytelnictwa, Biblioteka Narodowa, Warszawa 1967, s. 51—52).

Cytat powyższy, którym zresztą nie pierwszy raz obracam przy okazji pisania o tych sprawach, naprowadza na trop nadzwyczaj istotny, każe mianowicie dorozumiewać się — na razie nazwijmy to ogólnikowo — rozmaitych d y s p r o p o r c j i kulturalnych. Przypatrzmy się temu w obrębie księgarstwa, którego niedostatki mogą być jedną z pierwszorzędnych przyczyn niskiej ilościowo i jakościowo — by tak rzec — wydajności czytelnictwa.

Nie wstydzę się żargonu produkcyjnego, tak samo jak dalej nie będę się wstydził cyfr, nie jest to bowiem artykuł dla dzieci ani gwoli uroczystej rozrywki pisany. A więc. Średnia sprzedaży wydawnictw rozprowadzanych przez „Dom Książki" (bez uwzględnienia podręczników szkolnych) w okresie 1967—1970 r. wzrosła na Lubelszczyźnie od około 23 zł do około 28 zł na jednego obywatela w stosunku rocznym. Byłby to może jakiś powód do radości, gdyby nie fakt, że zarówno te dwudziestokilkuzłotowe wskaźniki, jak i następne, o czym dalej, sytuują nasze województwo regularnie na ostatnich miejscach w skali krajowej. I oto dysproporcja pierwsza już się zarysowała.

Jeśli bowiem orientacyjne normy — zawarte w opracowanym onegdaj przez Centralę Księgarstwa „Programie organizacyjno-technicznej rekonstrukcji księgarstwa do roku 1985" — mówią na przykład o 15 tys. mieszkańców przypadających na jedną księgarnię jako wymaganej w polskich stosunkach normie optymalnej, jeśli więc o tym mówią, to trzeba wiedzieć, że obecnie tylko ziemie północne i zachodnie spełniają ten warunek lub — częściej — doń się zbliżają. Lubelszczyzna ze swymi 22 733 mieszkańcami na księgarnię (w 1970 r.) zostaje daleko w tyle, aczkolwiek w stosunku do r. 1968, kiedy wypadało 26 230, nasze województwo notuje niejaki postęp.

W sumie wszak nic dziwnego, iż mając około 6 proc. ludności kraju, Lubelskie sprzedaje za pośrednictwem swego „Domu Książki" tylko 4 proc. ogólnej produkcji wydawniczej i proporcjonalnie do tego otrzymuje jedynie 4 proc. poszukiwanych przez odbiorcę tytułów deficytowych (klasyków beletrystyki polskiej i obcej, wszelkiego rodzaju encyklopedii, słowników, informatorów, samouczków...), których nakłady częstokroć nie zaspokajają potrzeb rynku, o czym zresztą już Siekierski wspominał i czym nadal kłopocze się większość księgarzy.

Posiadając permanentnie zbyt rzadką sieć księgarń, szczególnie w powiatach, co perspektywicznie stawia dysproporcję drugą, jeśli nie trzecią, Lubelszczyzna w pewnym momencie zobaczyła ratunek w maksymalnym wykorzystaniu specjalnego kredytu przyznanego przez Prezydium Rządu na budowę parterowych pawilonów księgarskich wolno stojących usytuowanych w miejscowościach „poniżej powiatu".

Od 1961 r., kiedy powstał pierwszy pawilon (w Michowie, pow.

Dokończenie na str. 6—7

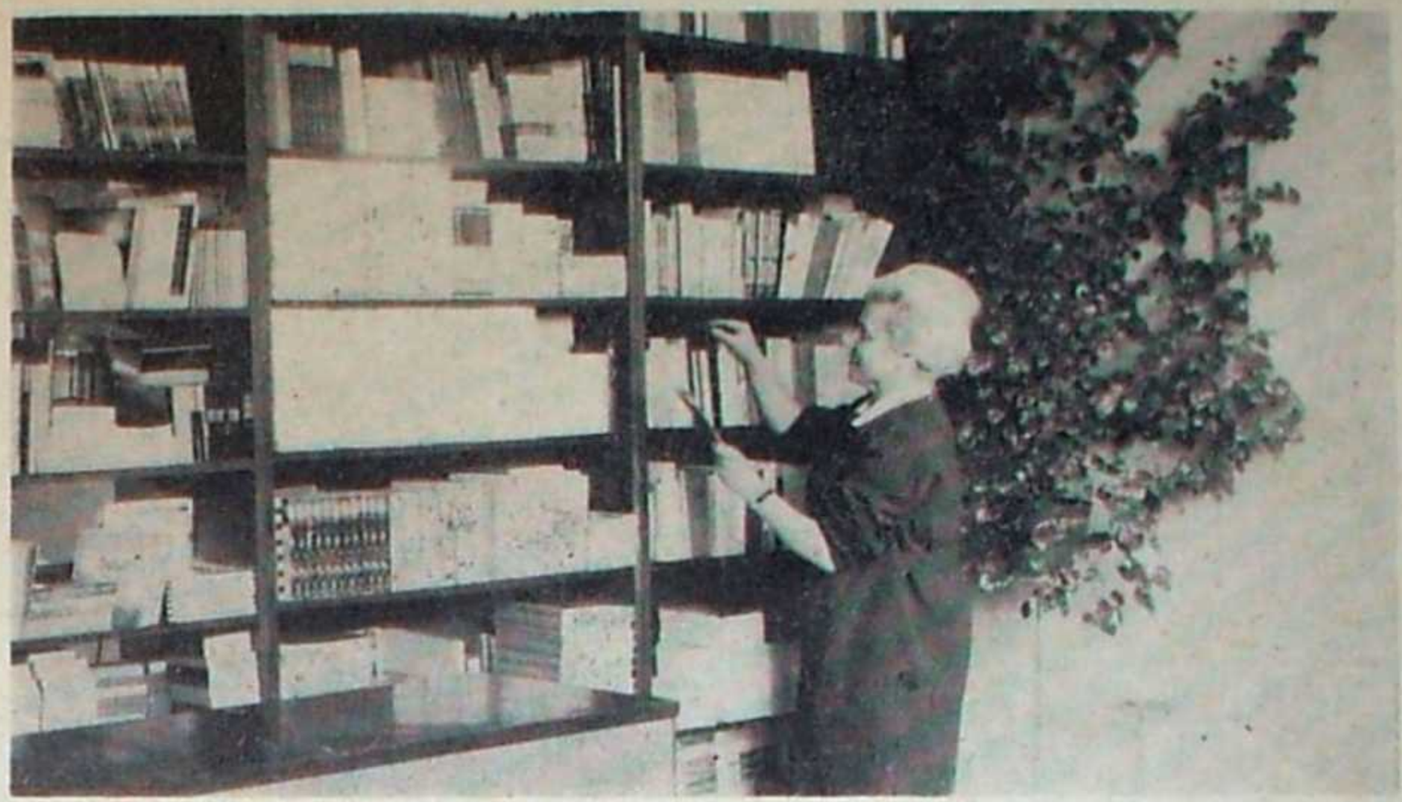

„Jedynym moim celem jest księgarnia" — powiada kierowniczka placówki „Domu Książki" w Łukowie, Celina Fijałkiewicz.

„Mach nauczył mnie kochać Polskę..."

Dymitr Dobrew

O autorze tej publikacji, Dymitrze Dobrewie, pisaliśmy szczegółowo w ubiegłym roku (nr 5 „Kameny" z 1 marca 1970 r.) Przypominamy, że Dobrew w okresie międzywojennym wydawał przez 13 lat własnym sumptem pismo pt. „Swietłostrój" w małej miejscowości – Szorklewie blisko miasta Ruse. Ostatnio, przed przejściem na emeryturę, Dobrew, wielki przyjaciel Polski pracował w jednym z wydawnictw bułgarskich. Stąd jego znajomość z Wilhelmem Machem, o którym pisze tak sugestywnie.

(Red.)

RANO 5 czerwca 1958 roku przyjechałem pociągiem ze Związku Radzieckiego. W wydawnictwie nie byłem prawie miesiąc. Spieszyłem do pracy z poczuciem, że mogło się tu wydarzyć coś nieodwracalnego. Każdy miewa czasem takie wrażenie. Tymczasem nic, nastroje wakacyjne. Jeden z kolegów mimochodem opowiedział mi o autorze niedawno wydanego „Jaworowego domu", który od kilku dni był gościem wydawnictwa i chciał się ze mną zobaczyć.

Do dziesiątej, kiedy wyznaczone było to spotkanie, sam musiałem pozbyć się uczucia gościa. Kiedy wydawca spotyka się z autorem, wówczas obowiązuje specyficzny rytuał, o niepisanych prawach, znanych tylko im obu. Spotkanie z Machem było inne. Może dlatego, że wtedy jeszcze nie zdążyłem wyzbyć się uczucia przyjezdnego, jeszcze pamiętam szum i zapach kolei. Ale dziś wiem, że było to inne spotkanie raczej za sprawą Macha, którego serdeczność nie znała żadnych rygorów.

Nie przypominam sobie, o czym wtedy rozmawialiśmy. Ale pamiętam moją ówczesną refleksję. To był bodaj jedyny przypadek, kiedy po poznaniu autora nie zmieniłem spojrzenia na jego wcześniej przeze mnie czytaną książkę, kiedy odczułem jedność osobowości i literatury.

Tak się złożyło, że w pierwszych dniach lipca tego samego roku znalazłem się w Warszawie. Macha jeszcze nie było, siedział w Bułgarii. Ale odszukał mnie zaraz po swoim powrocie.

Nie wiem, czy ktokolwiek poznawał jakiś kraj poprzez słowa i uczucia innego człowieka. Codziennie przemierzałem ulice warszawskie obok Macha, który chyba bardzo przeżywał moje poznanie z Polską, tak samo jak jeszcze przetrawiał własne wrażenia z Bułgarii. Może

Dokończenie na str. 8

Od „Samsary" do „Gongu"

Ireneusz J. Kamiński

W GRUDNIU ubiegłego roku kiszkowata kształtem sala środowiskowego klubu studentów Lublina zgromadziła tłumy nieprzebrane i niecierpliwe inicjacji dzieła, które od pewnego czasu zapowiadano jako totalną demonstrację słynnej już w mieśmie grupy poetyckiej „Samsara". Kilka miesięcy wcześniej grupa ta opublikowała w „Kamenie" swój pierwszy tekst fundamentalny, czyli „Wprowadzenie do manifestu", rozpoczynające się zdaniem tyle kategorycznym, co rozczulającym poznawczo: „Współczesny człowiek jest duchowym nędzarzem!" Autorzy, oczywiście, uznali za konieczne wyrażenie osobistego stosunku do najmłodszej tradycji literackiej, z dadaistyczną swobodą stwierdzając, iż „Poezja dzisiejsza jest produktem całej rzeszy daltonistów widzących świat w jednym kolorze". Trudno się zatem dziwić, że ów tłum studencki spodziewał się w „Arcusie" rzeczy równie ostrych, a w naszych warunkach niebywałych, jeśli nie liczyć dramatycznego wernisażu „Młodych pędów", zrealizowanego przecież przez ludzi nieco starszych, właśnie zaopatrzonych w dyplomy warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, lub mozolnie zmierzających do uzyskania takowych papierów.

W rzeczy samej dzieło „Samsary" przeszło oczekiwania najbardziej zblazowanych konsumentów poetyckiej strawy, jako że poza elektromagnetycznym słowem posypały się w salę główki kapusty; publiczność żywo uczestniczyła w demonstracji.

Następnie na łamach studenckich „Konfrontacji", które — dodajmy dla informacji — zaliczyły na początku tego roku swój numer 150, na tych więc skromnych dość łamach, a także na ostatniej stronie niniejszego pisma, strzelono w „Samsarę" z broni zjadliwej i najcięższej, podważając w ostateczności sens społeczny imprezy, nie widząc żadnych podstaw do takiego czy innego wspierania poczynań kilku młodych poetów, którzy nie mnożą w a r t o ś c i kulturalnych studenckiej zbiorowości, przeciwnie — wypinają się na kulturę w sposób bezwstydny i cyniczny. Mimochodem zauważmy tylko wielkie przywiązanie do pewnego modelu kultury, nie dopuszczające możliwości jej dialektycznych przemian.

Nigdy jednak, o ile pamięć nie zawodzi, nie lamentowano w Lublinie głośno i przy pomocy naszkicowanych wyżej argumentów nad tym choćby, że koncerty naszych znakomitych chórów uczelnianych gromadzą — bywało tak i bywać będzie! — tylu słuchaczy, co wokalistów na scenie, albo jeszcze mniej. A chóry studenckie mają i tradycję i poziom, co się zowie, zespoły Wyższej Szkoły Rolniczej, KUL-u należą niewątpliwie do najlepszych w kraju, również UMCS i Studium Nauczycielskie mogą się niejednym pochwalić. Oficjalna pozycja tych chórów, na ogół otaczanych znaczną sympatią władz uczelni, wyraźnie wzrosła po uhonorowaniu ich szczecińskiego krewniaka główną nagrodą ostatniego Festiwalu Kultury Studentów Polski Ludowej.

Dokończenie na str. 4

teatrnn.pl

Kultura 1971

Zmarli

* 89-letni Rockwell Kent, amerykański plastyk, pisarz, architekt, podróżnik i działacz społeczny. Jego obrazy znajdują się w Ermitażu leningradzkim i i Metropolitan Museum w Nowym Jorku. Był członkiem Światowej Rady Pokoju, w 1967 roku został laureatem Międzynarodowej Nagrody Leninowskiej.

Literatura

* Związek Literatów Polskich i Związek Literatów Jugosławii podpisały w Belgradzie porozumienie o współpracy za rok 1971.

* W Republice Czeskiej przewiduje się wydanie w tym roku 23 pozycji polskich autorów, zarówno klasyków jak i współczesnych. Wśród nich: „Krzyżacy", „W pustyni i w puszczy", „Profesor Tutka" Szaniawskiego, „Gaj oliwny" Kuncewiczowej i „Abecadło aforyzmów" Leca.

* W sierpniu przypada 50 rocznica śmierci Aleksandra Bloka. 7 sierpnia we wsi Szachmatowo zostanie zorganizowane „święto poezji".

* W USA ukazała się książka pt. „Pamiętniki Czerwonego Lisa" — wspomnienia Indianina, który właśnie skończył 181 lat.

Teatr

* Na scenie kameralnej w Sopocie Teatr „Wybrzeże" wystawił prapremierę sztuki Zdzisława Morawskiego „Maria Preta" w reżyserii Zbigniewa Bogdańskiego. Jest to czwarta sztuka Morawskiego, znanego głównie jako poeta. Akcja współczesna rozgrywa się wokół tematu: życie a sztuka.

* Wielką Nagrodę oraz pamiątkową statuetkę VI Szczecińskiego Tygodnia Teatralnego otrzymał spektakl „Jest w piekle miejsce zwane...", przygotowany przez Lidię Zamkow, Leszka Herdegena i Wojciecha Ziętarskiego z Krakowa w reżyserii zbiorowej wykonawców. Otrzymał on również nagrodę specjalną Komisji Artystycznej VI STT. Drugą nagrodę zdobył spektakl „To się złożyć nie może" Tadeusza Różewicza w wykonaniu B. Baryżewskiej i Z. Sierakowskiego, w reżyserii K. Rościszewskiego — wszyscy z Torunia.

* Teatr „13 Muz" w Szczecinie, działający przy Klubie Związków i Stowarzyszeń Twórczych, istnieje już ponad 10 lat, dał w tym czasie 100 premier i około 1000 spektakli dla ponad 200 tys. widzów. Jest to teatr aktora, bez kurtyny, dekoracji i kostiumów.

* Warszawski Teatr Ludowy wystawił sztukę „Jasełka-moderne" Ireneusza Iredyńskiego w reżyserii Jana Kulczyńskiego. Sztuka jest poetyckim protestem przeciw bezwzględnemu panowaniu człowieka nad człowieklem.

* Warszawski Teatr Współczesny na kolejnym festiwalu we Florencji zaprezentował „Matkę" S. Witkiewicza w reżyserii Erwina Axera.

* Po 7 latach przerwy Harold Pinter napisał nową sztukę pt. „Stare czasy". Prapremiera odbędzie się w czerwcu w teatrze Aldwych.

* W lipcu odbędzie się w Anglii pierwszy międzynarodowy festiwal teatrów dla dzieci. M. in. zaproszono teatry z ZSRR i Czechosłowacji.

* Przy teatrze dziecięcym w Dortmundzie istnieje studium, w którym dzieci pod kierunkiem instruktorów kolektywnie opracowują tekst sztuki na interesujące je tematy. Eksperyment wzbudził duże zainteresowanie zwłaszcza wśród pedagogów.

Sztuka

* W Muzeum Narodowym otwarto wystawę prac Tadeusza Kulisiewicza w związku z 70 rocznicą urodzin artysty.

* Tegoroczny plener plastyków, organizowany przez Łódź, odbędzie się w Spale i potrwa 3 tygodnie. Malarze będą mieszkali w ośrodku PKOl, a tematyka ma dotyczyć przede wszystkim treningu lekkoatletów, którzy w tym samym czasie będą przebywali w ośrodku. Zaproszono także rzeźbiarzy i grafików, razem 50 osób.

* W Łodzi otwarto jubileuszową wystawę malarstwa Benona Liberskiego, ukazującą dwudziestoletni dorobek artysty, prezesa tamtejszego Oddziału ZPAP. Pragnie on zorganizować w Łodzi międzynarodowe biennale tkaniny unikatowej i przemysłowej.

* Podczas prac konserwatorskich w Łańcucie okazało się, że przyzamkowy taras, uważany dotychczas za przybudówkę z XIX w. jest właściwie loggią ogrodową z XVII w. Jest więc jedną z nielicznych pozostałości pierwotnej bryły zamku.

* W Rabacie odbyła się wystawa polskiego artysty-malarza z Wybrzeża, Konstantego Gorbatowskiego.

* Na aukcji w Londynie sprzedano za 13 tys. funtów dwie wazy ze słynnej porcelany meissenowskiej. Zostały one wykonane dla Augusta Mocnego.

* Z okazji 70 rocznicy przybycia Picassa do Paryża zorganizowano tam spektakl audiowizualny i projekcje filmów, poświęconych artyście. Na wielkich ekranach pokazano powiększone 10—20 razy jego obrazy, a niektóre fragmenty nawet 1000 razy.

Muzyka

* Olsztyńska Orkiestra Symfoniczna obchodzi ćwierćwiecze istnienia. W tym czasie dała ona 2800 koncertów dla ponad 1,2 mln słuchaczy. Około 210 koncertów (na 270 w roku) odbywa się w terenie.

* Przez trzy miesiące występował w USA zespół Niebiesko-Czarnych. Recenzje były bardzo przychylne, a nawet entuzjastyczne.

* Akademicki Rosyjski Chór Ludowy im. Piatnickiego obchodzi 60-lecie istnienia. Jego założyciel Piatnicki był wybitnym znawcą i miłośnikiem rosyjskiej pieśni ludowej.

Kamena str. 2

Film

* W Krakowie odbyła się prapremiera filmu dokumentalnego „Tagebuch — dziennik dr Hansa Franka" reżyserii Danuty Kępczyńskiej. Film będzie wyświetlany w kinach studyjnych, we wrześniu w telewizji.

* Reżyser Zbigniew Kuźmiński wrócił z Grecji, gdzie nakręcał zdjęcia do filmu „Agent nr 1". Jest to opowieść o słynnym bohaterze antyhitlerowskiego ruchu oporu Jerzym Iwanowie Szajnowiczu. Scenariusz napisał Aleksander Scibor-Rylski według książki Stanisława Strumph-Wojtkiewicza pod tym samym tytułem.

* Na 17 krytyków radzieckich 12 uznało, że najlepszym rodzimym filmem ub roku był „Początek" reżyserii Gleba Panfiłowa według scenariusza Jewgienija Gabriłowicza. Główną rolę grała Inna Czurikowa. Tematyka filmu jest współczesna.

* Filmy węgierskie były w roku ub. wyświetlane na 50 międzynarodowych festiwalach, zdobywając 30 nagród.

* Na taśmie filmowej człowiek przebywał na Księżycu już 14 razy. Po raz pierwszy w 1902 roku, gdy Francuz Georges Melies zrealizował „Podróż na Księżyc". W roku 1970 nakręcono trzy „księżycowe" filmy.

* Według opinii właścicieli kin w USA najlepszymi (czyli najbardziej kasowymi) aktorami są: Paul Newman, Clint Eastwood i Steve McQuean. Barbara Streisand zajęła 9 miejsce, Raquel Welch 15, Julie Andrews 19, Jane Fonda 22, Elizabeth Taylor 24.

* Brigitte Bardot ma znów występować w filmie, który będzie tworzył jej eks-mąż Roger Vadim.

Kozne

* W ciągu roku po wydaniu sprzedaje się u nas literaturę piękną w 85—88 proc., literaturę dla dzieci i młodzieży w 96 proc., encyklopedie w 99 proc.

* Biblioteka Narodowa posiada m. in. 9658 rękopisów i 92 tys. starodruków, każdego roku przybywa około 100 tys. nowych pozycji. Budowa nowego kompleksu gmachów rozpocznie się już w tym roku: pierwszy zostanie oddany magazyn na 5 mln woluminów.

* W ostatnich 5 latach ponad milion widzów w 8 krajach oglądało występy polskich artystów estradowych; ponadto w krajach socjalistycznych odbyło się około 500 występów dla 4 mln widzów.

* Kielecka delegatura „Estrady" łódzkiej uruchomiła trzy zespoły z myślą o odbiorcy wiejskim. Pierwszy to zespół muzyczny z programem rozrywkowym i popularnym, dalej zespół z muzyką i pieśniami ludowymi, wreszcie trzeci daje programy poruszające aktualną problematykę społeczną i obyczajową, zwłaszcza problemy wychowania dziecka.

* Według danych UNESCO w 1970 roku ukazało się na całym świecie prawie pół miliona tytułów książek, których nakład wyniósł 5 mld egzemplarzy. Ale 22 kraje, mające trzecią część mieszkańców kuli ziemskiej, wydały cztery piąte całej produkcji.

* W Uzbekistanie odkryto 8 jaskiń z posągami. W jednej z jaskiń znaleziono fresk z wizerunkiem Buddy, podobno najdawniejszy ze znanych dotąd.

* W ZRA powstała pierwsza w dziejach Trzeciego Świata międzyarabska organizacja, zrzeszająca działaczy oświaty, nauki i kultury, wzorowana na strukturze UNESCO. Organizacja kładzie szczególny nacisk na zbliżenie kulturalne między narodami arabskimi.

* Victoria de Lahara, badaczka kultury Inków, twierdzi, że wyodrębniła 500 znaków hieroglificznych na starych rysunkach i ornamentach i że znaki te są wzorami nie znanego dotąd pisma, którego używali Inkowie przed najazdem konkwistadorów.

Roger Moore, znany u nas z serialu „Święty", występuje teraz z młodą Belgijką, Claudie Lange (na zdjęciu).

Z brulionu lektora

Czy prezydent USA zna konstytucję?

WOJEWÓDZKI Ośrodek Szkolenia Partyjnego w Lublinie prowadzi dwa roczne kursy poświęcone problematyce międzynarodowej — w Chełmie i w Kraśniku. Przypadło mi w udziale zaznajomienie słuchaczy z problematyką bezpieczeństwa europejskiego i sytuacją w Niemieckiej Republice Federalnej. Po wykładach, które traktowałem na zasadzie bezpośredniej wymiany poglądów, odbyły się seminaria. Tutaj dyskusja wychodziła już poza zaplanowaną tematykę. Trudno się dziwić: każdy dzień przynosi nowe wydarzenia, ludzie chcą wiedzieć jak najwięcej, a po Grudniu nie przecedzają już pytań. Powszechne zainteresowanie wzbudza rozwój sytuacji na Bliskim Wschodzie, wojna domowa w Pakistanie, problem Wietnamu, Laosu i Kambodży. Jednego ze słuchaczy zaniepokoiła sprawa stałego naruszania konstytucji USA. Zakłada ona, że prawo o decydowaniu w kwestiach wojny ma Kongres Amerykański, tymczasem w ostatnich latach wyraźnie widzimy, że prawo to jest stale naruszane przez prezydenta, a więc przez władzę wykonawczą. Jeden nierozsądny krok Nixona może świat doprowadzić do katastrofy.

Ten niepokój nie jest bynajmniej odosobniony. Wpadł mi właśnie w ręce artykuł dr Henry Steele Commagera, profesora historii w Amherst College, zamieszczony w baltimorskim „Sunday Sun". Warto nadmienić, że artykuł ów stanowi skrót oświadczenia, jakie dr Commager złożył w senackiej komisji spraw zagranicznych.

Autor stwierdza, że w ciągu ubiegłych dziesięciu lat prezydenci Stanów Zjednoczonych pięć razy podejmowali decyzje w sprawie zbrojnej interwencji w innych krajach, nie zasięgając uprzednio opinii Kongresu. Były to: interwencja na Kubie w Zatoce Świń, inwazja na Republikę Dominikańską, ataki na Wietnam Północny, Kambodżę i Laos. Żadna z tych interwencji nie była odpowiedzią na atak na USA, który wymagałby natychmiastowej reakcji zbrojnej. Żadna więc nie odpowiadała warunkom wymienionym w konstytucji, w których prezydent ma prawo podejmowania na własną rękę decyzji w sprawie działań wojennych.

Konstytucja Stanów Zjednoczonych ogłoszona w 1787 roku i uzupełniana następnie w toku historii nie pozostawia żadnych niejasności co do intencji jej twórców. Chcieli oni uniemożliwić jakiemukolwiek „władcy" wciągnięcie kraju do wojny. W Starym Świecie monarchowie mieli wyłączne prawo decydowania o wojnie i pokoju, natomiast twórcy konstytucji Stanów Zjednoczonych postanowili zapobiec temu, aby prezydent USA mógł posiadać taką władzę, jak Jerzy III czy Fryderyk Wielki. W tym właśnie celu wprowadzili ścisły podział władzy. Było to coś całkiem nowego w historii, bowiem chociaż „filozofowie" Starego Świata uznawali „równowagę" w sprawowaniu władzy, nikt jednak nie myślał o tego rodzaju funkcjonalnym podziale władzy, jaki Amerykanie wprowadzili w swym państwie i w swej konstytucji.

Konstytucja konstytucją, już jednak w przeszłości zdarzały się wypadki, kiedy prezydenci Stanów Zjednoczonych korzystali z prawa decydowania o prowadzeniu wojny lub to prawo wyraźnie nadużywali. I tak np. w 1818 roku prezydent James Monroe polecił generałowi Jacksonowi ścigać Indian aż na teren hiszpańskiej Florydy. Zawsze skory do krwawych rozpraw gen. Jackson zajął porty hiszpańskie i powiesił dwóch obywateli brytyjskich.

W 1845 r. prezydent James Polk rozkazał generałowi Scottowi zajęcie spornych terenów między rzekami Nueces i Rio Grande, a kiedy Meksykańczycy weszli na to terytorium, wydał im bitwę wyłącznie na rozkaz prezydenta. „Krew Amerykanów — oświadczył wówczas — została przelana na ziemi amerykańskiej" i zwrócił się do Kongresu o wyrażenie zgody na prowadzenie walki.

W 1854 r. prezydent Franklin Pierce wyraził zgodę na bombardowanie miasta Greytown na wybrzeżu Moskitów i ten akt quisi wojenny opierał się wyłącznie na zarządzeniu prezydenta.

Prezydent Abraham Lincoln również lubił działać na własną rękę: tworzył armie, organizował kampanie zbrojne, ogłaszał blokadę. Ale Wojna Domowa mogła nie być traktowana jako wojna w pojęciu konstytucyjnym. Wojny nie wypowiedziano, nie zawarto traktatu pokojowego i nie było też wroga „z zewnątrz".

Nie budzą jednak kontrowersji posunięcia prezydenta Granta, który w 1869 roku zorganizował osławioną i kłopotliwą wyprawę na Santo Domingo czy też prezydenta Williama McKinleya, który wysłał do Chin korpus ekspedycyjny w sile pięciu tysięcy ludzi celem stłumienia Powstania Bokserów. Oczywiście nie troszczył się o zgodę Kongresu na to posunięcie.

Bez aprobaty Kongresu interweniowali też Teodor Roosevelt, Taft, Wilson i Coolidge.

Niemniej należy zaznaczyć, że niemal we wszystkich wypadkach w XIX wieku i w większości wypadków w pierwszej połowie XX wieku interwencje zbrojne podejmowane na zarządzenie prezydenta ograniczały się do pobliskich zachodniej i do sąsiedniego terytorium Karaibów. Dopiero mniej więcej w ostatnich dwudziestu latach prezydenci Stanów Zjednoczonych porzucili wszelkie skrupuły konstytucyjne i względy ostrożności i sami decydowali o operacjach militarnych, będących w istocie aktami wojny, prowadzonych na szeroką skalę w odległych częściach świata i stanowiących „zobowiązania", których motywacja godziła w integralność systemu politycznego i konstytucyjnego USA.

Obecny kryzys — stwierdza dr Commager — jest niewątpliwie dalszym ciągiem długiej serii kryzysów — od Deklaracji Neutralności proklamowanej przez Waszyngtona, do użycia przez prezydenta Trumana sił wojskowych i morskich w Korei i obecnego zaangażowania się w Azji Południowo-Wschodniej. Pojawiły się jednak nowe elementy w sposobie korzystania przez prezydentów Stanów Zjednoczonych z ich uprawnień w kwestiach dotyczących wojny, które wzmagają niebezpieczeństwo grożące sprawie pokoju na świecie.

Po pierwsze — głosi dr Commager — nasze obecne zobowiązania podjęte przez prezydenta mają zasięg raczej ogólnoświatowy, a nie jak za czasów Lincolna wewnętrzny, czy dotyczący półkuli zachodniej, jak za czasów prezydentów Monroego, Polka, T. Roosevelta i Wilsona.

Po drugie — nieograniczona władza prezydenta w zakresie polityki zagranicznej nie jest już usprawiedliwiana grożącym krajowi niebezpieczeństwem, lecz uważa się ją za normalne sprawowanie władzy wykonawczej.

Po trzecie — nowe zobowiązania nie są, jak to bywało zazwyczaj w przeszłości, podejmowane ad hoc, lecz są dobrze przemyślane i mają podkład ideologiczny. Tak więc nie zrzucamy bomb na Wietnam i Laos dlatego, że „krew Amerykanów została przelana na ziemi amerykańskiej" — jak usprawiedliwiał swą decyzję prezydent Polk. Żaden też z ostatnich prezydentów nie utrzymuje — jak prezydent Truman — że działa w odpowiedzi na uchwałę ONZ. Dzisiaj prezydenci USA działają dla „powstrzymania komunizmu" lub dla „ochrony żywotnych interesów" na terenach odległych o 9 tys. mil, lub też by wypełnić „zobowiązania", które nigdy nie zostały jasno sprecyzowane.

Po czwarte — USA są członkiem ONZ, której zadaniem jest regulowanie konfliktów w drodze pokojowej. A tymczasem deklaracje prezydentów Stanów Zjednoczonych na temat akcji, które gotowi są podejmować na całym świecie, pomijają ONZ i Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości. Tym samym podważają one konstytucję amerykańską, a także podważają ONZ.

Jeśli — stwierdza dalej dr Commager — zastanowimy się nad licznymi w ubiegłych 20 latach wypadkami, kiedy prezydenci sami decydowali w sprawach wojny, rzuca się w oczy fakt, że prawie w każdym wypadku odbywało się to w trakcie sesji Kongresu, a więc można było zasięgnąć jego opinii.

Nadużywanie władzy przez prezydentów jest odzwierciedleniem, a być może i konsekwencją nadużywania naszej potęgi przez amerykański naród i państwo. Od dwudziestu już lat wykorzystujemy w fałszywy sposób tę naszą olbrzymią potęgę. Nadużywając naszej potęgi ekonomicznej, łączyliśmy pomoc gospodarczą z pomocą militarną i stosowaliśmy sankcje ekonomiczne wobec państw, które nie podzielały całkowicie naszych poglądów w kwestii wymiany handlowej z naszymi „wrogami". Nadużywaliśmy naszej potęgi politycznej, usiłując zmusić państwa neutralne, by stanęły po naszej stronie w zimnej wojnie... Nadużywaliśmy naszej potęgi militarnej, zarzucając naszą bronią wiele krajów na całym świecie, utrzymując sojusze militarne NATO i SEATO i narzucając im naszą wolę, kiedy tylko było to możliwe...

Na dłuższą metę nadużywania władzy wykonawczej w naszym kraju nie będzie można oddzielić od nadużywania potęgi państwowej. Obalanie porządku na świecie i zagrażanie sprawie pokoju światowego musi doprowadzić przede wszystkim do nieuchronnego obalenia i zagrożenia naszych własnych instytucji politycznych. A to właśnie robimy.

Dr Commager daleki jest od marksizmu. Gdyby był komunistą, nikt by mu nie pozwolił wystąpić na forum senackiej komisji spraw zagranicznych. Potrafi jednak zachować zdrowy rozsądek i to nie tylko na prywatny użytek. Dlatego warto było ten głos przytoczyć. Jako głos amerykańskiej opinii publicznej. Tej — najtrzeźwiej myślącej.

(J)

Za Bugiem

MARCOWY numer lwowskiego miesięcznika „Żowtień" zawiera szereg interesujących materiałów. Roman Fedoriw umieścił tu swą nową powieść pt. „Iwan syn Mokryny". Bohaterem powieści jest zwyczajny człowiek, na pozór uczciwy, gdy jednak przyjrzeć mu się bliżej, jest to wyjątkowy cynik, nie wierzący w ludzi, w jakiekolwiek ideały, w potrzebę społecznego działania. Jedynym jego dążeniem jest tak się urządzić, żeby łatwo przejść przez życie. Autor poznaje nas bliżej z Iwanem. Na jego sposób myślenia wpłynęły różne czynniki. Wraz z bohaterem śledzimy kolejne etapy kształtowania się jego poglądu na świat.

Najpierw nauczycielka, która wypowiada niezwykle podniosłe i patriotyczne słowa, a postępuje zupełnie nie tak, jak tego oczekiwałby od niej uczeń prawie w niej zakochany. Następnie pierwsza miłość, szczera i jedyna; wkrótce okazuje się jednak, że dziewczyna bawi się Iwanem, a jej rodzice z „lepszej sfery" nigdy by się nie zgodzili na małżeństwo z „prostym chłopakiem". W końcu nauczyciel gimnastyki wprowadzający młodego ucznia w cyniczny sposób myślenia i egoistyczny tryb postępowania nie tylko słowem, ale i czynem.

Autor umiejętnie i przekonywająco tłumaczy Iwana, nie potępia go i w końcu powieści zapewnia, nie całkiem jednak wyraźnie, że po przeanalizowaniu faktów, Iwan, syn Mokryny, stanie się pełnowartościowym członkiem społeczeństwa. Powieść jest napisana dobrze, ocena faktów dyskretna i wyrozumiała, utwór cechuje poszanowanie tradycji, występują w niej ludzie zwyczajni, nie ma całkiem złych i absolutnie dobrych. To przekonuje i wzrusza. Trudno się od niej oderwać. A zakończenie? Nie happy end, tylko nadzieja uwarunkowana wiarą w człowieka.

A oto inna pozycja — Mikołaja Korolki z Lublina, który drukuje wspomnienie o tzw. „Drohobyckiej komunie", utworzonej przez więźniów politycznych w więzieniu w latach 1928—1934. Pierwszym starostą tej komuny, zorganizowanej w celu wspólnego domagania się lepszych warunków i samokształcenia, był Aleksander Zawadzki, po wyzwoleniu przewodniczący Rady Państwa PRL. Komuna gromadziła przedstawicieli różnych narodowości: Polaków, Ukraińców, Białorusinów, Żydów. Ów samorząd więzienny rozwijał nawet działalność oświatową, rozpowszechniał w rękopisie miesięcznik „Drohobycka komuna"; artykuły pisane były w różnych językach. Wydano także kilka numerów czasopisma literackiego „Nakowalnia" (Kowadło). W roku 1934 ta organizacja więzienna liczyła ponad 200 osób.

Warto też zwrócić uwagę na artykuł Michajła Hołowaszczenki o Aleksandrze Myszudze, słynnym śpiewaku ukraińskim, żyjącym w latach 1853—1922. Myszuga był silnie związany również z muzyką polską i długi okres swego życia działał w Warszawie jako aktor i profesor śpiewu. Pierwszy raz wystąpił na scenie zawodowej w operze S. Moniuszki „Straszny dwór" w roku 1889 i, jak donoszą ówczesne kroniki, „sprawił na słuchaczach dobre wrażenie". W roku 1894 zaczyna A. Myszuga śpiewać na scenach warszawskich. Wówczas zwrócił na siebie uwagę całej prawie inteligencji. Bolesław Prus zapisał w swym pamiętniku: „W Warszawie pojawił się nowy tenor, Pan Myszuga. Ma głos — bardzo przyjemny. Myszuga przede wszystkim umie śpiewać, rozumie i czuje, co śpiewa. Wypada tylko podziękować dyrektorowi opery, że zaprosił takiego znakomitego śpiewaka". W polskiej prasie owego czasu pojawia się szereg wypowiedzi pełnych zachwytu nad głosem i kulturą śpiewu A. Myszugi, który w tym okresie miał już wstęp do najsłynniejszych scen Europy, najczęściej jednak bywał w Warszawie. Dał się tu poznać jako dobry nauczyciel śpiewu.

Uczyli się u niego śpiewu tacy słynni polscy śpiewacy, jak Janina Korolewicz-Waydowa, późniejsza primadonna i dyrektorka Opery Warszawskiej w okresie międzywojennym, Wanda Raszkowska, Maria Wysocka, Irena Strokowska-Faryaszewska i inni.

Myszuga umarł daleko od ojczyzny, w Szwecji. Życie osobiste mu się nie ułożyło, potomstwa nie miał. Cały swój majątek zapisał na rzecz Instytutu Muzycznego imienia Mykoły Łysenki we Lwowie, żeby w ten sposób przyczynić się do szerzenia kultury muzycznej wśród Ukraińców. Pochowany został w rodzinnej wsi Wytków koło Lwowa w roku 1922 „pod cichymi lipami, które on tak gorąco kochał przez całe swoje życie".

M. Ł.

Dyskutujemy odważnie i rozważnie

Przedstawiony opinii publicznej projekt ustawy w sprawie zapobiegania i zwalczania pasożytnictwa społecznego wzbudził ożywione dyskusje zarówno w kręgach prawników jak i całego społeczeństwa. O ile sama zasada jest powszechnie akceptowana, to jednak poszczególne sformułowania projektu jak i niektóre jego aspekty prawne budzą zastrzeżenia.

Celem wysondowania opinii środowiska lubelskiego redakcja „Kameny" przy współpracy Wojewódzkiej Rady Adwokackiej zorganizowała dyskusję, w której wzięli udział: Jerzy Blaim i Stanisław Miturski, wiceprokuratorzy wojewódzcy z Ośrodka Badania Problemów Przestępczości; Krzysztof Olszewski, wiceprzewodniczący Zarządu Wojewódzkiego ZMS; prof. dr Józef Reutt, kierownik Zakładu Psychologii UMCS; Jerzy Szwarc i Michał Wójcik, adwokaci; Władysław Wójtowicz, sędzia Sądu Wojewódzkiego. „Kamenę" reprezentował red. Jerzy Dostatni. Oto streszczenie dyskusji, która trwała prawie 4 godziny.

Karać pracą czy wychowywać pracą?

Dostatni: — Chciałbym najpierw podkreślić, że — jak zwykle w naszych dyskusjach — niezależnie od miejsca pracy każdy z nas zabiera głos we własnym imieniu, wypowiadając osobiste poglądy. Jeżeli chodzi o meritum sprawy, to wydaje się, że w projekcie zostaną dokonane pewne zmiany i mam nadzieję, że nasza rozmowa bądź potwierdzi pewne opinie, bądź też doprowadzi do sformułowania nowych sugestii, które przydadzą się prawodawcy. Jak dalece sprawa jest skomplikowana, albo też niewłaściwie zrozumiana, świadczy chociażby zamieszczony przedwczoraj w „Walce Młodych" list pewnego młodego człowieka. Pisze on, że wypełnił obowiązek szkolny, teraz nie pracuje i nie uczy się dalej, ma różne hobby, nie wchodzi w konflikt z żadnymi przepisami karnymi czy administracyjnymi, a żyje ze sprzedaży paczek, przesyłanych mu z zagranicy przez brata. I zapytuje, czy w tej sytuacji jest pasożytem czy nie.

Wójcik: — Myślę, że rozwiązania problemu pasożytnictwa można szukać w już istniejącym systemie prawnym. Kodeks karny z 11 lipca 1932 roku, obowiązujący do dziś, artykuł 83 § 1, powiada: „Jeżeli czyn pozostaje w związku ze wstrętem do pracy, sąd może zarządzić, by po odbyciu kary umieszczono przestępcę w domu pracy przymusowej na przeciąg lat 5. Po upływie 1 roku sąd może zarządzić zwolnienie". Minister sprawiedliwości miał wydać przepisy o organizacji zakładów wychowawczych i poprawczych oraz pracy przymusowej. Nie ukazały się one nigdy, zapewne z braku środków na tworzenie takich zakładów jak i brak miejsc pracy. Obecny projekt, w którego zbożność życzeń wątpić nie można, także natknie się na trudności z zatrudnieniem, bo przecież takie trudności mamy już z tymi, którzy nie prowadzą życia pasożytniczego. Ale zasadą dawnego Kodeksu było, że pasożyt już popełnił przestępstwo, teraz zaś chodzi o samą potencjalną możliwość przestępstwa. Jeżeli nawet przyjmiemy, że przewidywane obecnie sankcje są tylko quasi represją, to musimy pamiętać, że ani represja ani quasi represja nie może być stosowana, jeżeli przestępstwo nie zostało już popełnione. Pamiętajmy o konstytucji, która poręcza nietykalność osobistą.

Miturski: — Jeżeli komuś, kto notorycznie nie chce pracować, proponuje się pracę, a on jej nie przyjmuje lub po krótkim czasie ją porzuca, to powinna istnieć możliwość karania. Jeżeli w perspektywie nie będzie represji, to i projekt ustawy i nasza rozmowa zaprowadzą do nikąd.

Blaim: — Konstytucja nasza mówi, że praca jest nie tylko prawem, ale i obowiązkiem obywatela.

Wójcik: — Prawda, nie zamieniajmy jednak pracy w karę!

Blaim: — Jeżeli praca jest i prawem i obowiązkiem konstytucyjnym, to obywatele muszą postępować zgodnie z konstytucją. Jeżeli ktoś żyje a nie pracuje, to powstaje przecież pytanie, z czego żyje? Można odziedziczyć spadek, można wygrać milion w totolotka i żyć z procentu. Tacy ludzie mają legalne źródło utrzymania, ale moralność socjalistyczna oceni ich ujemnie, bo nic nie dają społeczeństwu. Od nich szczególnie wymagałbym pracy rzeczywiście społecznej. Nie o tych jednak chodzi. Jeżeli wiemy, że jakieś „dzianie się", jakaś sytuacja prowadzi do przestępstwa, a tak jest z reguły z ludźmi żyjącymi nieraz zupełnie dobrze a nie pracującymi, to temu trzeba przeciwdziałać. Mieszkam w dzielnicy robotniczej, tam ludzie dyskutują o tych sprawach, oburzają się na tryb życia tych, którzy nie wykonują normalnej pracy, a mają duże środki na życie. To również demoralizuje innych. Cały problem trzeba uregulować także ze względów moralnych. U nas w osiedlu jest 8 etatów sprzątaczek, ale tylko 4 są zajęte, na drugie 4 brak chętnych. U nas niemal każdy uważa, że powinien wykonywać pracę ważną, wielką i dobrze płatną. A w rzeczywistości powinien taką, w jakiej będzie przydatny, do jakiej ma kwalifikacje.

Wójcik: — Część społeczeństwa nie ma jednak prawidłowego stosunku do pracy, nie uważa jej za honor. Mnie jest ona potrzebna jak powietrze, ale niektórzy dlatego właśnie uważają mnie za frajera.

Dostatni: — Jeżeli pracę traktować jako honor, a tak trzeba, siebie samych zaś umieścić gdzieś na cokole pomnika tego honoru, to czy możemy patrzeć obojętnie, jak ktoś drąży dziurę pod tym pomnikiem? Myślę, że nawet siłą trzeba go ściągnąć chociażby na najniższy stopień tego pomnika.

Szwarc: — Nie szukajmy wejścia od kuchni. Pasożytnictwo jest niewątpliwie czynnikiem kryminogennym. Projektodawca chyba zawęził sprawę tylko do tego jednego objawu — pasożytnictwa. A sytuacji kryminogennych jest znacznie więcej. Przy ul. Chopina jest bistro. Już nie o północy, ale wczesnym wieczorem kręcą się tam grupy młodych ludzi, z których część może nawet pracuje, wszyscy jednak tracą pieniądze i zdrowie, a wytwarza się tam stale sytuacja kryminogenna. Projekt zajmuje się w gruncie rzeczy cinkciarzami, prostytutkami, włóczęgami itp. Zachodzi również obawa, że organa dochodzeniowe niższych szczebli mogą ułatwić sobie życie, aby nie przeprowadzać trudnych dochodzeń, lecz pozbyć się ze swego terenu ludzi, których uważają za niewygodnych. Projekt ustawy wyłamuje się z naszej dotychczasowej mentalności prawniczej. Prawda, że w wielu sprawach odeszliśmy, i słusznie, od starych pojęć. Ale musi być jakaś granica, nie możemy wytwarzać sytuacji, w których decydować będzie dowolność organów wykonawczych.

Wójcik: — Pojęcie pasożytnictwa jest bardzo szerokie, a można wątpić, czy wszystkie organa będą się zajmowały jego subtelnościami. Obywatel musi mieć poczucie bezpieczeństwa prawnego.

Wójtowicz: — Należy przesunąć punkt ciężkości dotychczasowych rozważań. Zjawisko pasożytnictwa jest oczywiste, uznajemy je za groźne. Prawodawca nie może objąć wszystkich sytuacji kryminogennych, więc wybrał najgroźniejsze. I słusznie. Jak wielokrotnie wykazały ankiety, praca jest dla znacznej większości ludzi sprawą honoru, tylko niektórzy uważają ją za karę, nawet jeżeli sami pracują. Ona jest jednak normalną potrzebą człowieka. Pracy towarzyszy określona atmosfera, rozrywki kulturalne, współżycie z innymi; to wszystko ma kolosalne znaczenie wychowawcze. Projekt ustawy nie jest doskonały, ale kłopoty o których była mowa, należą do spraw technicznych.

Miturski: — Powiem więcej, praca to jeden ze środków obrony społeczeństwa przed demoralizacją, jeżeli nie degeneracją.

Wójtowicz: — Niepokój budzi nie tyle sama ustawa, ile problem, czy organa wykonawcze będą ją prawidłowo stosowały. Gdybyśmy w pełni zdelegalizowali tzw. ustawodawstwo zabezpieczające, musielibyśmy powiedzieć: niech pasożyci chodzą, piją, demoralizują. A konstytucja dlatego, że jest konstytucją, nie musi być zawsze tworem doskonałym. Można ją przecież zmienić.

Szwarc: — Nie mogę zgodzić się z tym, aby pozbawiać wolności kogoś, kto nie popełnił przestępstwa, i to drogą administracyjną. Przecież przeciw cinkciarzom skierowane jest prawo skarbowe, żebraków czy prostytutki też można karać na podstawie istniejącego prawa. Tylko udowodnienie tych przestępstw czy wykroczeń jest trudne. Natomiast podpisuję się obu rękami pod tym, aby pasożytniczy tryb życia uznać za okoliczność obciążającą i po wykonaniu wyroku więzienia sprawcę kierować do pracy przymusowej. Artykuł 290 projektu nowego Kodeksu Karnego powiada: „Kto prowadzi pasożytniczy tryb życia, czyniąc sobie stale źródło dochodu z niegodziwego procederu, podlega karze ograniczenia wolności. W wypadku uporczywości sprawca podlega karze pozbawienia wolności do lat 3". Dodajmy, że w pierwszym przypadku na podstawie przepisów ogólnych ograniczenie wolności może trwać do 2 lat.

Blaim: — Dlaczego mówimy tylko o trzeciej formie, ograniczeniu wolności, a nie o dwóch pierwszych sytuacjach — rozmowie i nadzorze? W ZSRR od 1961 roku obowiązuje dekret, który na równi z pasożytami karze tych, którzy pracują fikcyjnie, co odpowiada naszemu porzekadłu „czy się stoi czy się leży, dwa tysiące się należy". Wśród pasożytów są ludzie, których można ocalić. Niektórzy z panów rozumują tak: czekajmy, aż popełni takie przestępstwo, że powiesimy go w pełnym majestacie prawa. Czy nie lepiej działać wcześniej, aby do tego nie dopuścić?

Miturski: — Sens polega na tym, czy projekt ustawy zadowala nasze odczucia o szkodliwości pasożytnictwa. Moim zdaniem, tak. A przed jego nadużyciem chroni obywatela fakt, że nawet w wypadku skazania na pracę, trzeba brać pod uwagę wiek, zdrowie i kwalifikacje. Jeżeli zgodnie z projektem wszystkie trzy elementy — rozmowa, nadzór, praca przymusowa — będą dobrze wykonywane, nie widzę, aby można było wymyśleć coś mądrzejszego. Drażnią nas jawne formy pasożytnictwa, ale powiedzmy sobie, że sami często hodujemy pasożytów ukrytych. Przykłady? Rozbite szyby w hotelu Victoria, konduktor nie wydający biletu, konik pod kinem, nawet prostytutka, która przecież żyje nie dzięki pasożytom czy chuliganom, ale tzw. porządnym ludziom. Wiemy z doświadczenia, że rozmowy czy nadzory nie zawsze działają skutecznie. Jeżeli nie będzie straszaka w postaci pracy przymusowej, kto będzie się przejmował rozmową umoralniającą? Uważam jednak, że rozmowy powinny być prowadzone nie przez urzędników wydziałów spraw wewnętrznych, ale przez czynniki społeczne, chyba najlepsze rozeznanie będą miały komitety blokowe.

Olszewski: — Jestem bardzo młodym prawnikiem, więc w tym gronie trudno mi zagłębiać się w subtelności prawne. Ale problem pasożytnictwa nabrał ostrości, jest potępiany przez społeczeństwo i prawo musi nadążać za życiem, za potępieniem społecznym. Powiedzmy sobie prawdę, że świadomość społeczna nie pracującej młodzieży w wieku 18—25 lat jest bardzo niska. Ci ludzie z różnych powodów wypadli z systemu kształcenia, zawodowego i społecznego. Dziecko można przekonać, czy zmusić do nauki uczuciami, presją rodziny. Potem te możliwości się kończą. Jeżeli nie można więc inaczej, trzeba w sposób administracyjny zmusić do pracy. Rzecz w tym, aby miejsca pracy były dobrze zorganizowane, aby można tam było zdobyć rzeczywiste kwalifikacje oraz perspektywę awansu. Będą szanse, że ci młodzi ludzie zaczną wtedy prowadzić uczciwe życie.

Reutt: — Problem pracy ma wiele aspektów: ekonomiczny, społeczny, psychologiczny, fizjologiczny, biologiczny, techniczny itd. Często widzimy tylko ten pierwszy, czasem i drugi, niezmiernie rzadko pozostałe. Praca jest potrzebą normalnego organizmu. Jeżeli jej pojęcie zostało przez niektórych zhańbione, nie może to znaczyć, by pracę uważać za karę. Kto nie pracuje, niech nie je. Pracy przymusowej nie uważam za karę, lecz za możliwość utrzymania się. Chorzy ze szpitali psychiatrycznych wielokrotnie zwracali się do mnie, abym wyjednał u odpowiednich władz, by za pracę — która dla nich jest lekarstwem — wypłacano zarobki nie im, ale ich rodzinom. Nawet więc oni, chorzy, nie traktowali pracy jako kary, ale jako środek utrzymania rodziny. Jakie kategorie ludzi mają być objęte przymusem pracy, to już inna sprawa. Ewentualne niedokładności organów wykonawczych nie mogą zaciemniać sprawy. Praca została często zdehumanizowana, ale właśnie przez człowieka. Może to zabrzmi jak paradoks, ale trzeba zacząć od humanizowania człowieka. Pojęcie pracy jest bardzo bogate, słusznie mówimy o ambicji w pracy, honorze pracy, ona jest koniecznością życiową, determinuje rozwój ludzkości, kształtuje stosunki międzyludzkie. U młodych są okresy zniechęceń i załamań, o tym trzeba pamiętać. Ale pojęciu pracy musimy przywrócić pełen blask, nie można jej uważać za karę. Pracą trzeba spłacać dług społeczeństwu, dzięki któremu się żyje, także rodzinie, w której się żyje. Czy niewywiązywanie się z obowiązków społecznych nie jest przestępstwem lub wykroczeniem?

Szwarc: — Widzę możliwość kompromisu między naszymi stanowiskami. Zgoda na dwa pierwsze elementy — rozmowy i nadzór. Ale dalsze konsekwencje stanowią jednak dolegliwość karną, mimo tego, co pan profesor tak szlachetnie mówił o pracy. I moim zdaniem dalsza konsekwencja to uznanie pasożytnictwa za okoliczność obciążającą przy popełnianiu przestępstwa i potem, po odbyciu kary ograniczenia wolności za to przestępstwo, kierowanie sprawcy do pracy przymusowej jako kary dodatkowej. Chuligaństwo samo w sobie też nie jest przestępstwem, ale dopiero w połączeniu z jakimś czynem przestępnym.

Reutt: — Dlaczego niewywiązywanie się ze społecznego obowiązku pracy nie ma być samoistnym przestępstwem? Istnieje obowiązek szkolny czy służby wojskowej, oba w jakiś sposób ograniczają przecież wolność osobistą wagarowiczów i ludzi leniwych. Ale rozumiemy wyższe cele i dlatego nikt, poza osobnikami zdegenerowanymi, nie protestuje. Jeżeli ktoś żyje niegodziwie, musi ponieść konsekwencje tego.

Blaim: — Jeżeli mówimy o zjawisku społecznym, powinna być przeprowadzona ankieta społeczna. Niedawne dyskusje w różnych środowiskach na temat projektu ustawy dały pewien pogląd na to, jak społeczeństwo rozumie i przyjmuje objawy pasożytnictwa. Myślę jednak, że ciekawa byłaby ankieta np. na temat, czy praca uważana jest rzeczywiście za zaszczyt i obowiązek czy tylko za konieczność. Jeżeli chodzi o wysuwane tu zastrzeżenia co do sposobu wykonywania projektu, gdy stanie się ustawą, to trzeba stwierdzić, że każdy, dosłownie każdy akt prawny, może być nadużywany. I dlatego większą uwagę przywiązuję do prawidłowej, rzetelnej realizacji każdego aktu, niż do subtelności jego sformułowań, chociaż te subtelności z prawnego punktu widzenia niewątpliwie są ważne. Projekt ustawy przewiduje stosowanie środków wychowawczych. Od roku obowiązuje już podobna ustawa o ograniczeniu wolności i pracy na cele społeczne. Ciekawe, jak ona jest wykonywana i czy daje efekty.

Szwarc: — Właśnie przed kilku dniami miał u nas odczyt na ten temat prof. Śliwowski z Uniwersytetu Warszawskiego. Podawał wiele danych, z których wynikało, że ustawa jest wykonywana i to zupełnie dobrze. Ale na pełną ocenę wyników wychowawczych trzeba jeszcze poczekać.

Miturski: — Przymusowe leczenie odwykowe to przecież także ograniczenie, jeżeli nawet nie pozbawienie wolności. Osobiście nie wierzę, że przynosi ono większe, a przede wszystkim trwałe skutki. A przecież stosujemy je w imię dobra wyższego nie oglądając się nawet na wysokie koszta. Byłbym jednak przeciw temu, aby obowiązkowi pracy przymusowej nadać expressis verbis charakter kary. To ma duże znaczenie praktyczne i psychologiczne. Traktowanie tej pracy jako kary pociąga przecież za sobą umieszczenie w rejestrze skazanych. W drugim wypadku wprawdzie opinia też nie będzie najlepsza, ale w dokumentach nie będzie figurowało: skazany.

Wójtowicz: — Od postanowienia sądu powiatowego w sprawie życia pasożytniczego istnieje możliwość odwołania się do sądu wojewódzkiego, a nawet i wyżej.

Szwarc: — O co będzie, jeżeli pasożyt w ośrodku pracy wychowawczej po prostu usiądzie i nie będzie chciał pracować?

Wójtowicz: — Minister sprawiedliwości ma wydać regulaminy, obowiązujące w tych ośrodkach. Myślę, że w takich wypadkach regulaminy te nie będą zbyt przyjemne. I chyba słusznie.

Wójcik: — Moim zdaniem wtedy będzie można zastosować normalne postępowanie karne, kończące się zwykłym, dotychczas stosowanym pozbawieniem wolności.

Blaim: — A swoją drogą wcale pokaźna część pasożytów to ludzie obrotni i sprytni. Mam nadzieję, że przez tak czy trochę inaczej sformułowaną ustawę oraz nacisk opinii publicznej będzie można te ich cechy wykorzystać dla dobra społecznego. A o to nam przecież najbardziej chodzi.

Relację spisał: **Jerzy Dostatni**

Fot. R. Dudley („Perspektywy")

Od „Samsary" do „Gongu"

Dokończenie ze str. 1

W sprawozdaniach więc o tej formie działalności kulturalnej studentów mówi się sporo i to na czołowych miejscach, podkreślając sukcesy krajowe i zagraniczne, mierzone choćby liczbą słuchaczy koncertów wyjazdowych oraz odbytych poza środowiskiem studenckim. Jeśli zaś w samym Lublinie studenci słuchają zbiorowej wokalistyki tylko z okazji przeróżnych akademii i festiwalowych składanek, raczej omijając występy „monograficzne", dowodzi to przede wszystkim ich miernego przygotowania do spożywania wysokokalorycznej strawy duchowej, o jakże bogatych tradycjach. Tak to przynajmniej usiłuje się tłumaczyć.

Jest to tłumaczenie przejrzyste, proste i sugestywne, od lat powtarzane przy różnych okazjach zyskało wszelkie znamiona prawdy. Tak doń przywykliśmy, że nie dopuszczamy do głosu nawet pytania, czy przypadkowo ta forma artystyczna, uprawiana przez studentów, nie zestarzała się na tyle dokumentnie, że wśród ludzi młodych egzystuje na prawach sympatycznego dziadka — weterana wojny japońskiej, którego kilku opowieści można, a jakże, wysłuchać, lecz z którym w istocie nie ma o czym gadać. Na koturnach bell canta, przykładowo, czy można dziś wznosić treści i ideały trafiające do wyobraźni i przekonania młodej generacji?! Ale chóry mamy. Dobre. Co to jednak znaczy: dobry chór? Dobry w ramach określonej konwencji, o zapiętej na ostatni guzik gramatyce, czy też współczesny, a więc łamiący stare porządki?!

Występ „Samsary" zdegustował poniektórych, lecz nie dał nikomu szans na obojętność. Grupa liczy kilka osób, lecz przyciągnęła do „Arcusa" około 150 słuchaczy, czyli znacznie więcej, niż gromadzą niektóre koncerty kilkudziesięcioosobowych chórów. Bo „Samsara" zaproponowała rzecz na pograniczu happeninu: groteskową, ostrą, dynamiczną, z wygłupem i na serio — rzecz młodą i diabelnie dzisiejszą, także w gestach infantylnych i zdawkowych. Mundurowe porządki panują dziś tylko w zakurzonych lamusach.

W czołowych partiach wartości kulturalnych lubelskiego środowiska studenckiego, ponad chórami chyba, umieszczono jednak zespoły folklorystyczne, podlegające szczególnej opiece władz uczelni i od lat dla dobra wszelakich zespołów pieśni i tańca rywalizujące z sobą na tym polu ludowych stylizacji. Najstarszy, Zespół Tańca Ludowego UMCS, powstał w 1953 roku i posiada niebagatelny majątek w strojach, oceniany na kilka milionów złotych, który jest na pewno proporcjonalny do galowo-prestiżowych sukcesów zespołu, akcentowanych choćby „Srebrną kolią" na międzynarodowym festiwalu folklorystycznym we francuskim Dijon. Obecnie przygotowuje się on do występów w NRF i Francji, być może odwiedzi również Austrię; biografia podróżniczo-artystyczna zespołu Jerzego Leszczyńskiego jest zresztą na tyle znana, że nie ma powodów do kolejnego jej powielania. W opinii specjalistów Zespół Tańca Ludowego UMCS, liczący ponad 200 osób, reprezentuje poziom wysoki.

Drugi pod względem stażu i liczebności Zespół Pieśni i Tańca WSR obchodził niedawno dziesięciolecie trudnego miejscami działania, a trudności te przekładały się w konkretach na brak odpowiednich strojów i w ogóle środków folklorystycznej egzystencji; ostatnio kłopoty te zlikwidowano, Zespół wyjeżdża do Belgii, następnie zaś do Brześcia. Jego animatorzy: Józef Dzik, Zofia Toryń, Bogusław Szot.

Ponadto istnieje Zespół Taneczny Studium Nauczycielskiego, jakoś mało widoczny, choć kierowany przez J. Leszczyńskiego, oraz Zespół Taneczny przy Filii AWF w Białej Podlaskiej, uczelni dopiero raczkującej, a zatem bez żywszych przejawów aktywności kulturalnej.

Sporo zatem zespołów folklorystycznych na studenckiej Lubelszczyźnie, widocznie istnieje społeczna ich potrzeba, usprawiedliwiająca koszty utrzymania, wcale nie małe, widocznie sami studenci zapatrzyli się w ludowość zupełnie. Rzeczywistość częściowo potwierdza te przypuszczenia — niemal w identyczny jednak sposób, jak w przypadku chórów akademickich, otoczonych tłumem słuchaczy w czasie okazjonalnym. W innych przypadkach sale nie są znów tak pełne. Bo te zespoły studenckie, z racji statusu społecznego ich uczestników, niewiele mają wspólnego z życiem i oczekiwaniami młodego pokolenia, co najwyżej są sentymentalnym i barwnym ozdobnikiem samych uczelni, a nie środowiska studenckiego, pełnią podobną funkcję, jak znakomite drużyny koszykówki północnoamerykańskich uniwersytetów. Że tak jest właśnie, niech świadczy fakt zorganizowania dwa lata temu Zespołu Pieśni i Tańca Akademii Medycznej, do którego pasiastych szeregów zgłosiło się osób sto, przyjętych zaś zostało 70. Jaki to cel oświecał inicjatorów sprawy? Życzenia środowiska?! Darujmy sobie takie racje. Pragnienie ochrony folkloru?! No, nie bądźmy tacy zadufani, w końcu znakomity Zespół Tańca Ludowego UMCS, także zespół WSR, mogłyby czyściej tę rolę spełniać. Zaważyła, zapewne, ambicja uczelni, która nie chciała być gorsza od innych szkół wyższych Lublina, a przy tym chciała być, i jest!, jedyną akademią medyczną w kraju, posiadającą zespół pieśni i tańca. Liczy on obecnie 40 osób i uzyskał I miejsce na Festiwalu Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia. Ambicje zostały zaspokojone, Lublin ma jeszcze jeden zespół folklorystyczny, kilkudziesięciu studentów sobie potańczy i pośpiewa, a kilka tysięcy ich kolegów rychło zapomni o całej sprawie.

Chcemy mówić o kulturze studenckiej Lublina i jakoś zasadniczo nie możemy znaleźć dotąd jej cech wyróżniających. A myślimy o działaniach kulturalnych młodych, spontanicznych, autentycznych, a przy tym oświeconych i odważnych, co nie zawsze, jak wiadomo, idzie w parze — „To właśnie świadomość czyni nas tchórzami", że odwołamy się do Szekspirowego bohatera. Mamy przecież pod ręką bryk niejako tej kultury, ćwierć wieku liczący bryk, z którego wynika jasno, że studenckość, czyli to wszystko, co przed chwilą zapodano, zrealizowała się w formach teatralnych i kabaretowych.

Od końca poczynając: nie widzimy odpowiedników krakowskiego „Zdroju Jana", czy wrocławskich „Ojców", nie widzimy po prawdzie nic kabaretowego, choć „Tuli-Pan" Wyższej Szkoły Rolniczej stara się. Były zapowiedzi, choćby „Pars pro toto" F. Piątkowskiego, dziś brylującego w sferach zawodowo pokrewnych, były, ale na ów czas były za „łechcące" zbyt intensywnie; przepaść musiały. Czas więc najwyższy do serdeczniejszej pomocy kabareciarzom, bo w ich dziełach właśnie może przejawić się to wszystko, co najprawdziwsze w studenckiej zbiorowości, i nie tylko w niej. Mówią w Radzie Okręgowej ZSP, że zachęcają do tego ryzyka, ale brak autorów, brak tekstów, brak ludzi zatem. Werbalne zachęty otrzymały dziś potężne wsparcie w samej rzeczywistości społeczno-politycznej, która zawsze zakreśla możliwości kabaretu o szerszych ambicjach, możemy zatem oczekiwać powstania lubelskiego STS-u — wprawdzie to dziś „model" zawodowy, ale nie profesjonalny, czego wiadomym dowodem choćby „Kochany panie Ionesco". Gdyby władze uczelni spojrzały na kabaretowe próby tak, jak patrzą na zespoły pieśni i tańca...

Teatr: „Gong-2", Akademicki Teatr KUL, Studencki Teatr Propozycji przy „Arcusie", z którym współdziała Piotr Wysocki, Teatr Małych Form UMCS oraz „Dren-59", już i chyba ostatecznie nie istniejący, ale nekrologu warty.

Postawienie w jednym rzędzie tych teatrów jest na pewno — dla chcącego budować środowiskowe hierarchie — istotnym nieporozumieniem, bo jakże można bratać „Gong" z anemicznym Teatrem Małych Form. Nie o to przecież idzie, aby hierarchizować, lecz o wskazanie na pewne pulsowanie życia teatralnego w środowisku lubelskim. Ci ubodzy krewni — jak długo? — „Gongu" starają się nieco „politykować", a jest to kierunek, wartość w gruncie rzeczy, szczególnie ostro wchodzący w młodą świadomość, bez względu na wszystkie posądzenia lubelskich studentów „o niezaangażowanie i bierność" czyniący sferę faktycznej aktywności obywatelskiej.

„Gong" zaś — mówią o tym teatrze, że ostatnio przyhamował nieco — szykuje się właśnie do szóstej „Wiosny Teatralnej", krajowej tylko, wbrew obietnicom kolportowanym na ostatniej i pierwszej imprezie międzynarodowej, która miała tylko o rok wyprzedzać następną; kosztowne to jednak przedsięwzięcie, gdzieś w granicach pół miliona złotych, więc na razie nierealne, ale tylko na razie.

Co do owego przyhamowania „Gongu": przyzwyczaił nas ten teatr do swoich sukcesów, dokumentowanych choćby nagrodą „Boga deszczu" na dwóch Łódzkich Spotkaniach Teatralnych — za „Elżbietę Bam", „Za!" i „Wielki Testament" — jeśli więc dziś częściej mówi się w kraju o wrocławskim „Kalamburze", krakowskim „STU", czy „Teatrze Ósmego Dnia" z Poznania, niepokoi to zapewne przyjaciół, a po trochu raduje przeciwników lubelskiego zespołu, rodząc wiadomą opinię. Z bardziej rzetelnymi i kategorycznymi sądami należy jednak poczekać do zakończenia tegorocznej „Wiosny", na której „Gong" wystąpi z szeroko potraktowanym — scenicznie i treściowo — widowiskiem pt. „Każdy", przedstawiając również debiut dramaturgiczny „Senator lecący i dwaj donatorzy" wg Marka Żenniego.

Najważniejsze przecież, że „Gong" jest teatrem studenckim — poprzez zaproponowaną formułę inscenizacyjną, początkowo daleką od teatru profesjonalnego, obecnie mu bliską: dlatego, że sceny zawodowe zaczęły czerpać pełnymi garściami z rozwiązań owych „amatorów". Patrząc przecież pod innym kątem, chciałoby się dostrzec w spektaklach „Gongu" więcej żywego „mięsa", wyrwanego z naszej rzeczywistości społecznej; nie chodzi przy tym o bezpośrednie naśladowanie jugosłowiańskiego SEK-u („Drugie drzwi na lewo").

Kultura studencka realizuje się w Lublinie w przypadkach odosobnionych, a jest to następstwem — należy przypuszczać — nie tyle tzw. specyfiki środowiskowej, zmitologizowanej do granic przyzwoitości, co niepomiernie szerszych uwarunkowań społeczno-kulturalnych, szczęściem rozpadających się na naszych oczach. Jest to również następstwem wieloletniego preferowania wielkich, reprezentacyjnych zespołów artystycznych, pochłaniających sporo energii i środków materialnych, które w znikomym stopniu amortyzują się społecznie w środowisku.

W obrębie zarysowanej problematyki nie zmieściło się jedno ważne zagadnienie o nazwie „kluby studenckie"; podejmę je w najbliższej przyszłości.

Ireneusz J. Kamiński

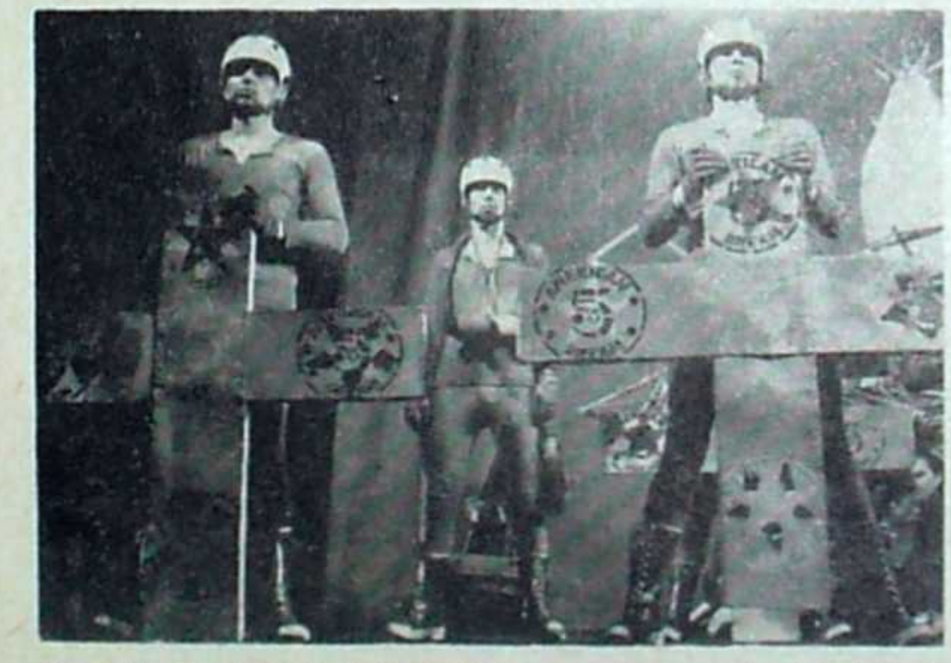

„Gong 2" — „Wietnam ukrzyżowany" Fot. T. M. Sochor

Kamena str. 4

Komu to służy?

Maria Bechczyc-Rudnicka

WIĘC „Przenikanie"? Wydało mi się początkowo, że sugestia tytułu wyłoniła się z obrazu Marii Jaremy „Penetracje". Ale nie, to po prostu Różewicz tak zatytułował wiersz w „Twarzy trzeciej", w którym mówi:

śmierć / przenika przez życie / jak światło / przez pajęczynę / wiszącą w drzwiach / otwartego pokoju

konający wyprowadzał się / długo krzycząc szukając / wybiegów układał się

śmierć zjadała rysy / kolejnych twarzy nałożone / na kość / tylko ręce / ucięte wcześniej / zapisywały / tekst / i oczy zastąpione zostały / przez odciski palców

Jasne? — Jasne. Różewicz przecie włada poetyckim konkretem w sposób, który nie pozwala mylić jego myśli, choćby sięgała najgłębszej głębi.

Umieszczony nie na początku zbioru, ani na końcu, wiersz „Przenikanie" nie jest patetycznym objawieniem prastarej prawdy o wykruszaniu się człowieczeństwa przed finałem człowieczego żywota, ale staje się potrzebnym dopełnieniem i miernikiem pewnych spraw świata wartościowanych przez poetę, przede wszystkim może w „Non — stop — shows".

Chyba właśnie asocjacje myślowe łączące wymienione dwa wiersze miał na względzie Kazimierz Braun nadając tytuł „Przenikanie" swej „rzeczy dramatycznej", której scenariusz zawiera m.in. kilka fragmentów z „Non — stop — shows". Atoli ową filiację idei można uchwycić dopiero wówczas, gdy się ma w ręku „Twarz trzecią" Tadeusza Różewicza. Bez tego tytuł widowiska pozostaje zagadką, bo sam wiersz „Przenikanie" w zakres scenariusza nie wszedł.

Do intencji przedstawienia podprowadza bliżej zestaw cytatów w programie. Tenor ich daje się podsumować lapidarnie zdaniem Paula Valéry: *Pojmujemy, że cywilizacja jest tak samo krucha jak życie.*

Cóż, dobroczynny wpływ cywilizacji na morale ludzkości był kwestionowany z dawien dawna. Najdosadniej uczynił to w swoim czasie Jean-Jacques odpowiadając na słynne pytanie Akademii Dijońskiej — „Czy postęp nauki i sztuki przyczynił się do zepsucia czy też do oczyszczenia obyczajów?" — o którym to traktacie Russa szyderca Wolter powiedział, iż lektura rozprawki budzi chęć ucieczki na czworakach do lasu.

Dziś po najokrutniejszej z wojen i w związku z zawrotnym rozwojem techniki stare pretensje do cywilizacji rozrosły się w nieustający natężony protest, który acz zrodził się w czujnych sumieniach, sam z kolei zaczyna być elementem destrukcyjnym, przeszkadzającym ludziom w dojściu do równowagi psychicznej.

Tylko taka poezja i tylko taka literatura, tylko taki sposób życia nam odpowiada, który jest, który staje się czynną interwencją w przemianę świata, w jego ulepszenie, w jego budowę i przebudowę... (Krzysztof Karasek).

Wypracowanie domowe

Romuald Wiśniewski

ZA temat kolejnego wypracowania domowego dostałem z „Kameny" napisanie o literaturze i literatach lubelskich. Nie wiem, komu tym mój redaktor naczelny chciał zrobić na złość: mnie, literatom, czytelnikom, czy może Maćkowi Podgórskiemu, etatowemu literaturoznawcy naszego pisma? Z tym ostatnim sąsiadujemy biurkami, ale on pisze o literaturze, ja o życiu, a nie zawsze literatura to życie, w każdym razie... literatura lubelska. Więc równie dobrym pomysłem byłoby zlecenie, by pani Bechczyc-Rudnicka napisała o sporcie, Derecki o polityce, a Kamiński o czymś niepryncypialnym. Ale rozkaz to rozkaz, w wojsku służyłem, lubię solidną robotę. Zbiorę to wszystko, co wiem dotychczas i czego dowiem się jeszcze, do jednego worka, potrząsnę dobrze kilka razy i będę bez wyboru, jak leci, prezentował Czytelnikom.

Zygmunt Mikulski potraktował mnie życzliwie. Gdy ja byłem jeszcze licealistą, ówże Zygmunt był już znanym dziennikarzem i nie mniej znanym poetą lubelskim. Mieszkałem w dzielnicy noszącej nazwę Dziesiąta, przed wiekami stanowiącej własność Jana Kochanowskiego; liceum mieściło się też w tej dzielnicy i fraszkę mistrza Jana o Dziesiątej cała klasa znała na pamięć, co było zasługą znakomitego polonisty, prof. Jeżowskiego. Wszyscy wiedzieliśmy też, że Mikulski, podobnie jak my, wychował się na Dziesiątej. Oprócz klasyków, okolicznościowo recytowaliśmy zatem i wiersze współczesnego nam krajana. Potem, pracując w tej samej, co Mikulski, redakcji „Sztandaru Ludu", nigdy nie zwracałem się do niego inaczej, niż per „mistrzu". To była zresztą forma stosowana powszechnie — nie dla poezji, lecz sportu. Mikulski, przed wojną i w pierwszych latach po wojnie mistrz i rekordzista województwa w lekkiej atletyce, tudzież z dużym efektem udzielający się innym dziedzinom sportu, wciąż był jeszcze najlepszym wśród dziennikarzy siatkarzem i ping-pongistą. Dziś, choć mimo tuszy nie widać po nim pięćdziesiątki, sport i sportowy tryb życia zarzucił. Już tylko szachy pozostały. Zamiast mistrzu, tytułują go prezesem, bo stoi na czele lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich i pełni szereg innych ważnych funkcji społecznych. Ja pozostałem przy swoim.

— Mistrzu, coś napisał ostatnio?

— Mnóstwo rzeczy. Bez przerwy piszę. Artykuły, felietony, nawet drobne notatki. I do tego wciąż różne przemówienia.

— A literatura? Od lat nic nie opublikowałeś oprócz „Czerwca przez kalkę", zawierającego dawne wiersze.

— Jak to nic? Uważasz, że wiersz, czy rozprawa krytyczno-literacka, wydrukowana w gazecie, lub czasopiśmie, mniej się liczą, niż w wydaniu książkowym? Istotnie jednak na pracę ściśle literacką przeznaczałem bardzo mało czasu, bo po prostu więcej nie mogłem. Zresztą w podobnej sytuacji jest prawie całe lubelskie środowisko literackie. Z literatury trudno wyżyć. Trzeba pracować gdzieś zawodowo: w redakcji, w szkole, w instytucjach kulturalnych. To ma i swoje dobre strony; daje bliższy kontakt z życiem. Jeśli chodzi o mnie, przygotowuję zbiór reportaży literackich, reportaży o charakterze eseistycznym, będących owocem doznań mego życia. Przerwałem to zadanie na pewien czas, by napisać jak najszybciej, na świeżo, swą relację z pobytu w Wietnamie. Połowa już gotowa. Potem wrócę do reportaży. W dalszej kolejce chciałbym przelać na papier Lublin mojej młodości. Klimat miasta. Lata szkolne. Narodziny świadomości literackiej, w czym spory miał udział mój kolega z gimnazjum Jerzy Pleśniarowicz; młodzież poetycką owego okresu: Annę Kamieńską, Julię Hartwig, Zygmunta Kałużyńskiego. Wydawaliśmy pismo pt. „Słońce". Chciałbym wrócić pamięcią do Dziesiątej, wtedy jeszcze pół-wiejskiej, z czystą wodą do kąpieli w Czerniejówce, z kilkumetrowymi głębinami przy molcie w

Cytat ów w programie teatru, wygłoszony też chóralnie ze sceny jak wyznanie wiary, zasługuje oczywiście na pełną aprobatę. Do czegoż ostatecznie od lat przeszło dwudziestu sześciu zachęca się u nas teatry i literaturę, jak nie do czynnej interwencji w przemianę świata? „Przenikanie" Teatru Osterwy rodzi jednak wątpliwość, czy namolna, jednostronnie mroczna prezentacja procesów rozwojowych ludzkości naprawdę pomaga człowiekowi „budować i przebudowywać" ten skompromitowany beznadziejnie świat.

Wydaje się, że za długo już trwają w różnych dziedzinach sztuki wszelakie „kontestacje" i „prowokacje", że czas, by gromiący kaznodzieje przystąpili wreszcie do jakichś propozycji konstruktywnych, począwszy od reformy pryncypiów własnego „sposobu życia".

Oblekając przeznaczone do prezentacji myśli w strukturę sceniczną, Kazimierz Braun przybrał do pomocy poezję Różewicza. Są w jego montażu, jak się rzekło — i fragmenty „Non — stop — shows", i „Domowe ćwiczenia na temat aniołów" i „Decybele", „Szkic do erotyku współczesnego", „Rzeczywistość którą oglądałem", „Zielona róża" ... Ale stała się rzecz fatalna. Nie na darmo powiedziano „spiritus flat ubi vult — d u c h poezji Różewiczowskiej nie zechciał patronować widowisku, które gubi słowo poetyckie w songach, śpiewanych po amatorsku między szaradowo-mimicznymi i l u s t r a c j a m i do tekstów, jakże „przegadanymi" wizualnie (że wymienię dla przykładu wstępne „hippiesowskie zaleganie proscenium, obliczone na programową nudę, wywołujące natomiast po obu stronach rampy raczej coś w rodzaju głupkowatego zawstydzenia).

Niestety, „Przenikanie", wystawione z niemałym nakładem energii młodych sił zespołu, jest spóźnionym echem wieloletnich poszukiwań i osiągnięć teatrów studenckich. Sądzę, że tylko neofitom awangardyzmu może dziś imponować dokonane na scenie wojewódzkiej przeniesienie pewnych sklasyczniałych już procederów Teatru Laboratorium, przefiltrowanych przez sceny amatorskie — wszystkie te pełzania na „deskach", koziołkowanie, patos ekspresjonistyczny, erotomański ekshibicjonizm, zastępowanie słowa dramatycznego bełkotem — i ta, pożal się Boże — „improwizacja"... zafiksowana starannie na próbach. Improwizacja. Też mi nowość! Proszę powiedzieć z ręką na sercu, kiedyż to na próbach nie było improwizacji?

Konia z rzędem temu, kto udowodni, że jest w owym „Przenikaniu" choć jeden element „eksperymentalny", nigdzie przedtem nie sprawdzony. Po raz wtóry — niestety, tak — niestety powielamy pomysły innych. I powtarzamy swoje własne. Po znakomitym, pełnym inwencji, werwy, dowcipu „Akcie przerywanym", ukazała się na scenie Teatru Osterwy również pomysłowa inscenizacja „Kto ty jesteś?", której postać teatralna znacznie przewyższała fakturę artystyczną oryginału. Obawiam się, że to właśnie powodzenie tej drugiej pozycji (nawiasem mówiąc dziś nieco zdezaktualizowanej) pobudziło inscenizatora do szukania dalszych sukcesów na świeżo utorowanej drodze. Po raz trzeci — niestety: była to pomyłka. Wzmożenie elementu pantomimicznego (bez zawodowego przygotowania wykonawców), kosztem słowa zepchniętego na ostatni plan, odbiło się ujemnie na czytelności „rzeczy dramatycznej" Brauna, pozostawiając widza obojętnym, tedy bynajmniej nie zachęconym do postulowanej „naprawy świata".

Owszem, jest w „Przenikaniu" parę momentów, po których się rozpoznaje „lwi pazur" utalentowanego inscenizatora. Do takich należy scena „nad grobem" z ocalałymi strzępami „Dytyrambu o sprawach konkretnych" Leona Szweda (*...wobec tej idealnej zbrodni powstającej śród białego dnia myśląc logicznie nie jest perwersją malować rewolwerem lub ekskrementami w muzeum guggenheima wywozić humanizm w kubłach do śmieci...*).

Albo „relaksowa" pantomima „młodzi urządzają się" z groteskowym spiętrzeniem sprzętów-wyznaczników współczesnego mieszczańskiego dobrobytu i tragikomiczną inwazją natrętów do „gniazdka" młodożeńców.

„Przenikanie" — wg scenariusza Kazimierza Brauna

Fot. W. Parys

Wymowę dramatyczną ma kolejne usuwanie się jednej, drugiej, trzeciej ściany, spoza których wyłoni się jeszcze następna — z zamurowanymi drzwiami.

Natomiast uproszczona i nie rehabilitująca słowa jest scena wywiadu z Profesorem, gdyż rozegrano ją w tonacji ironicznej, wskutek czego straciło nośność ze wszech miar słuszne stwierdzenie, że *technologia nie jest antynomią humanizmu, jest dobrodziejstwem jeszcze źle ustawionym w naszym modelu kulturowym...*

Co w takim razie z tą czynną interwencją teatru w ulepszenie świata?

I wreszcie — rozmawiajmy z młodymi rzetelnie. Przestańmy na tej polskiej ziemi bić się w piersi za niezawinione cierpienia, za narzuconą nam wojnę, której oni nie przeżyli. Przestańmy schlebiać, że dopiero oni wchodzą w światło dnia nieposzlakowani, a jeżeli ktoś ich „poszlakował", jak powiedziałby Tuwim, to z winy ojców.

Krótko mówiąc, „Przenikanie" nie wydaje mi się dobrze przemyślaną pozycją repertuarową. Ale skoro już jest, namawiałabym gorąco do zorganizowania szeregu dyskusji na jego temat, przynajmniej w kręgach inteligenckich, bo dla niewyrobionych widzów spektakl ten pozostaje w ogóle niezrozumiały.

Państwowy Teatr im. J. Osterwy: „Przenikanie". Scenariusz i reżyseria — Kazimierz Braun, aranżacja plastyczna — Jerzy Torończyk, muzyka — Jacek Popiołek, współpraca pantomimiczna — Jerzy Leszczyński. Obsada: Danuta Borowiecka, Ewa Kania, Barbara Koziarska, Justyna Moszówna, Urszula Rydzewska, Elżbieta Święcicka, Wanda Wieszczycka, Ewa Wolf, Zbigniew Górski, Roman Kruczkowski, Marian R. Miczka, Józef Onyszkiewicz, Edwin Petrykat, Jerzy Schejbal, Henryk Sobiechart, Włodzimierz Wiszniewski.

Abramowicach. Dziś, choć mieszkam w innej dzielnicy, na Dziesiątą jeżdżę po kilka razy w miesiącu. Ty mnie chyba rozumiesz?

— Mistrzu, a poezja?

— Chyba wyjątkowo. Jestem na etapie prozy. Lata poezji mam za sobą.

I tu Zygmunt nie chce się dalej rozwodzić, ale ja myślę, że nie wykorzystał przez te lata swych potencjalnych możliwości twórczych. Pisał za mało, a hamująco działała nań zbytnia fascynacja Gałczyńskim. Kto zna Mikulskiego, wie, że niewiele chyba osób tak jak on zgłębiło Gałczyńskiego: biografię mistrza Ildefonsa i jego twórczość. Mikulski może godzinami recytować utwory swego idola. Opowiadają, że pewnego razu pojechał do wdowy po Gałczyńskim i poprosił o zezwolenie na obejrzenie pokoju, w którym pracował poeta. Pani Gałczyńska zaprowadziła go do tego pokoju, posadziła przy biurku męża i pokazała jego rękopisy. Zygmunt usiadł i zaczął czytać. Po kilku godzinach wstał jak pijany i pożegnał się. — Pan też jest literatem, chyba poetą? — spytała Gałczyńska. — Eh, po tym, co przeczytałem tu, nie będę mógł już pisać — powiedział Mikulski i przez rok nie napisał nic, choć przed tą wizytą był w wielkiej formie. Pytam go, jak to było? Nie chce mówić, lecz przyznaje, że nie zawsze zbyt wielka fascynacja innym twórcą wychodzi na dobre. Od dłuższego czasu Zygmunt był na etapie wchłaniania Czechowicza. Teraz znów jest przy Gałczyńskim, mówi, że odkrywa w nim nowe pokłady. Jednakże obecnie nie zanosi się, by podziw dla innych wytrącił mu pióro z rąk.

Można by powiedzieć, że pięćdziesiątka to piękny wiek dla prozaika. Twórczość nie uznaje schematów. Konrad Bielski, po okresie młodzieńczej aktywności poetyckiej w słynnej grupie „Reflektor", zamilkł właściwie na całe lata. Był wziętym adwokatem, cenionym działaczem kulturalnym, a prawie nie pisał. I nagle, gdzieś przed sześćdziesiątką, zadziwiać zaczął kolejnymi tomami wspomnień, żywymi, barwnymi czy wręcz sensacyjnymi, jak „Tajemnica kawiarni u aktorów". Nagła śmierć rok temu zabrała go w okresie intensywnej twórczości.

Podobnie wygląda amplituda Wacława Gralewskiego (ur. 1900), o dwa lata starszego od Bielskiego, również wywodzącego się z „Reflektora". Gralewski to jedna z najpopularniejszych postaci na lubelskim bruku. Przed wojną redaktor lokalnego wydania „Expressu Lubelsko-Wołyńskiego" i czołowy tenisista, tudzież bywalec kawiarń, salonów, sal sądowych i garderób teatralnych. „Jestem taki młody, a już taki łysy, czemu to przypisać, nie wiem nawet sam. Może to hurysy, może to kulisy, może zbytni pociąg do niektórszych dam" — tak pisał Bielski w szopce lubelskiej o „Gaciu Wralewskim". Gralewski, sprawozdawca sądowy, sam stawał ponad sto razy na ławie oskarżonych za swoje publikacje i ani razu nie został skazany. W czasie wojny był szefem Biura Informacji i Propagandy AK Okręgu Lubelskiego. Po wyzwoleniu wstąpił do Wojska Polskiego i w szeregach VI Dywizji Piechoty, jako zastępca dowódcy zwiadu dywizji, walczył aż do końca wojny.

A po powrocie do Lublina jeszcze raz zdobył mistrzostwo województwa w tenisie. Niestety, pisał niewiele. W roku 1958 wyszła jego „Pięść Herostratesa", zbiór opowiadań o tematyce wojennej, przez krytykę przyjęty chłodno, u czytelników mający powodzenie. Od tamtej pory Gralewski pisze coraz więcej, coraz lepsze są też recenzje. Obecnie przygotowuje dla Wydawnictwa Lubelskiego kolejny zbiór opowiadań osnutych na kanwie swoich wspomnień wojennych. Sądząc z fragmentów, będzie to jego najlepsza książka. I już ma pełno pomysłów nowych. Też wojna. Ruch oporu. Działalność placówki, którą kierował. Walka w zwiadzie. Okres przedwojenny. Ach, o czymże pan Wacław nie ma zamiaru pisać? Nawet poprowadzić swego czytelnika po przedwojennych knajpkach. Jest w świetnej formie, dba o siebie, ten smakosz (i kucharz znakomity) trzyma się ostro diety, zapewne uraczy nas jeszcze niejednym specjałem. Obawiam się jednak, że gdyby nawet żył 100 lat i tworzył, nie przeleje na papier swych bogatych wrażeń. Jest świetnym gawędziarzem. Mógłby pewne tematy opowiadać, nagrywać na taśmę, a potem dawać do przepisania. Niestety, nie chce.

Lista starszego pokolenia pisarzy lubelskich wciąż czynnych nie kończy się. Współzałożyciel i przez długie lata przed wojną i po wojnie redaktor „Kameny", poeta, prozaik, jeden z czołowych polskich tłumaczy poetów innych narodów słowiańskich, Kazimierz Andrzej Jaworski, ma lat 73 i choć nigdy (poza okresem wojny, obozu koncentracyjnego) nie przerywał pisania, nie widać u niego spadku witalności twórczej. Obecnie przygotowuje tom przekładów poetów czeskich i słowackich (KAJ jest laureatem czechosłowackiej nagrody kulturalnej), po nim ma opracować następny tom przekładów, a tu proszę — zwierza mi się — nachodzi go coraz bardziej chęć napisania książki o Tatrach, przez niego, cepra, od młodości ukochanych. Materiałów ma mnóstwo, tematu jeszcze nie sprecyzował, może coś o Chałubińskim, może coś dla młodzieży? I skąd wziąć na to czas?

Do grupy starszych należy zaliczyć jeszcze dr Eugeniusza Gołębiowskiego (ur. 1908), nauczyciela języka polskiego, wychowawcę wielu pokoleń, poetę, prozaika i dramaturga, serwującego nam w ostatnim piętnastoleciu głównie powieści historyczne, wydawane przez tak szacowną oficynę jak „Czytelnik". I jeszcze prof. Janina Pliszczyńska, prozaiczka i tłumaczka z łaciny i greki. A przede wszystkim należałoby wymienić Marię Bechczyc-Rudnicką, cenionego krytyka teatralnego, która chyba dla kokieterii podaje, że urodziła się w roku 19... nie, co ja piszę, to z rozpędu, powinno być w... 1888. Zresztą cokolwiek bym napisał, nie wiadomo, czy jest pewne. Swego czasu szkicując w pewnym piśmie sylwetkę pani Marii podałem, że ukończyła w Petersburgu szkołę dla szlachetnie urodzonych panien, a potem, po studiach historii, była damą dworu ostatniej cesarzowej rosyjskiej. Sobie wiadomymi drogami pani Maria załatwiła, że ten fragment usunięto; twierdziła potem, że to nieprawda. Zobaczymy, co będzie teraz? MB-R, autorka niedawno wydanych szkiców teatralnych „Godziny osobliwe", w przerwie między kieliszkiem koniaku i filiżanką mocnej kawy opowiada o swych planach pisarskich na bliższe i dalsze lata, a jednocześnie dzwoni do krawca, pyta, jak ten kostium, ma przecież jechać do Anglii, do Grecji, Egiptu i gdzieś tam jeszcze, musi zatem, wiadomo, kobieta, odpowiednio wyglądać.

Tu robię przerwę, przeglądam, co dotychczas napisałem. Czy nie za dobrze o tej lubelskiej literaturze i literatach? Wymienionych mam przyjemność znać od dawna osobiście, niby posypałem odrobinę pieprzu i soli, ale w rzeczy samej jest to raczej słodkawe, głupia sprawa, wygląda na przymilanie się z mojej strony. Może dlatego, że piszę o życiu, a nie literaturze? Na razie zaś o życiu nie było, o życiu rozumianym jako współczesność, otaczający nas świat. Literaci starszej generacji karmią nas na ogół czy to odległą historią, czy też wspomnieniami ze swych młodych lat. Jest to zjawisko normalne, dość powszechne. Wydaje mi się, że gdyby było inaczej, moglibyśmy mieć do nich żal, że nie zostawiają przekazu artystycznego o tamtych dniach i sprawach. Trudno sobie wyobrazić, że w dorobku K. A. Jaworskiego nie byłoby „W kręgu Kameny". Odczuwam nadal jako niedostatek brak relacji z okupacyjnych doświadczeń Gralewskiego. Ale przecież są młodzi, którym do spisywania wspomnień pozostało jeszcze dostatecznie dużo czasu. Dziś powinni nas raczyć tym, czym żyje współczesny człowiek. Oczywiście, nie sposób klasyfikować wartości dzieła według daty jego akcji. Lecz zupełny niemal brak utworów o tematyce współczesnej w literaturze lubelskiej jest zjawiskiem zmuszającym do refleksji. Oddział lubelski ZLP liczy 19 członków. To mało, mówią jedni. Aż tylu? — dziwią się inni i podzielam ich zdziwienie. Od dawna nie ukazało się nic lubelskiego pióra, co poruszyłoby czytelników i krytyków. Od dawna nie tknięto żadnego z istotnych, ważnych problemów. Literaci lubelscy nie oburzają nikogo, nie drażnią, nie irytują, nie zmuszają do zastanawiania się. Nie stawiają nam pytań o cel i sens naszego życia. Nie budzą w nas wątpliwości, czy model naszego świata, stosunków międzyludzkich, jest dobry, czy nie wymaga poprawek. Nie można odmawiać dociekliwości poetom, lecz zakres oddźwięku poezji w społeczeństwie jest niewielki. Inny charakter twórczości ma krytyka, jeszcze inny przekłady. Ale co z prozą młodych i pokolenia średniego?

Tylko dwa nazwiska znajdziemy na horyzoncie. Edmund Pietryk, poeta, prozaik, reżyser teatralny, łapiący się za trudne sprawy dnia dzisiejszego, jest na naszym terenie ptakiem przelotnym. Przybył niedawno, od września przenosi się do Kielc. Pozostaje jedynie Bogdan Madej, autor „Młodych dorosłych ludzi" i „Konstelacji", utworów o charakterze refleksyjnym, bezkompromisowych jak on sam. Madej to ciekawy człowiek, znający życie z różnych stron, był marynarzem, urzędnikiem, buchalterem, tworzyć zaczął stosunkowo późno.

Reszta prozaików ucieka w historię. Stefan Wolski napisał powieść o Ściegiennym. Wolski, praktykujący adwokat, nie może chyba narzekać na brak tematów dzisiejszych. Adolf Lekki, dziwny człowiek, z którym przez dłuższy czas pracowałem w jednej redakcji w jednym dziale, lecz nigdy nie mogłem go zrozumieć, wziął za tło swoich powieści okupację i pierwsze lata powojenne. Zbigniew Jakubik, pauzujący obecnie wskutek ciężkiej choroby i rekonwalescencji, też przetwarzał dotychczas swe przeżycia partyzanckie. Henryk Pająk, trzydziestolatek, napisał dwie książki, których akcja toczy się w czasie Wielkiej Rewolucji Październikowej. Zbigniew Stepek — utwór sceniczny o Marii Skłodowskiej-Curie. Witold Welcz, dziennikarz z „Kuriera Lubelskiego", nie wyróżniający się niczym w publicystyce (najpierw pisał sprawozdania sportowe, a potem przez długie lata był redaktorem depeszowym), objawił się nieoczekiwanie jako autor trylogii o strzelcu Kaktusie (okres okupacji), powieści dla młodzieży, szybko rozchwytywanej, oczekującej już trzeciego wydania.

A tymczasem otacza nas świat, który nie tylko się kręci, lecz i gotuje. Ludzie awansują i ludzie dają się wyprzedzać, kochają się i rozwodzą, przenoszą ze wsi do miasta, a także z miasta na wieś, uczą i patrzą z przerażeniem, że nie rozumieją najbliższych.

Dopiero ostatnio pojawiło się trochę zapowiedzi powieści współczesnej. Stepek anonsuje powieść obyczajową, umiejscowioną w Kazimierzu, Lekki — powieść o wsi (umiejscowioną w Batorzu) i powieść o dziennikarzach, Welcz — coś dla młodzieży, też współczesnego. Dożyjemy, poczytamy...

Pisanie o współczesności jest zawsze bardziej kłopotliwe, niż o sprawach już osądzonych, sklasyfikowanych politycznie czy historycznie. Pisanie o współczesności, to zajęcie ryzykowne, ten się obrazi, tamten będzie próbował naciskać, by nie wydano. Uczciwość nakazuje powiedzieć, że nawet dziennikarze lubelscy poza Romualdem Karasiem nie za chętnie łapią się za reportaże o tematyce współczesnej. Zdzisław Kazimierczuk wydał reportaż o Cyganach, choć współczesność, lecz egzotyka. Derecki — o Hubalu; okupacja.

Literatura — to nie tylko członkowie ZLP. Eugenia Wesołowska, nie zorganizowana, wydała w „Książce i Wiedzy" „Opowieść belferską" (pod pseudonimem Krystyna Tatar), a w „Czytelniku" powieść „Barbara i ja" (podpisaną „Leokadia Barańska"). Do drzwi literatury dobijają się też członkowie dawnego Klubu Literackiego, zwącego się dziś Kołem Młodych przy ZLP. Prezesuje mu poetka Maria Józefacka.

Gdyby zatem nie ograniczoność miejsca, można by workiem potrząsać, wyciągać jeszcze to i owo, złe i dobre, poważne i mniej poważne, worek jest spory, ja nie roszczę niniejszym pretensji do syntezy, mogę rzucać na papier dowolnie, lecz szkoda fatygi, „i tak ci tego nie wydrukują" zapewnia mnie Jerzy Jedziniak, współredaktor naszego dodatku „Zapole" i ma chyba trochę żalu, że nie napisałem nic o Korespondencyjnym Klubie Młodych Pisarzy, w którym on działa. Ale skoro nie wydrukują... Lub mogą się obrazić...

Handel szlachetny

Wojciech Kurhan

ZDAWAŁOBY się, coś to za robota — stać za ladą i książeczki sprzedawać. Ale rzecz cała nie tak prosta, fach tylko pozornie łatwy. Praca księgarza łączy w sobie zajęcia handlowca i pracownika kulturalno-oświatowego równocześnie, a ponadto domaga się nie tylko wysiłku umysłowego, lecz częstokroć i fizycznego. Każdy 1000 zł obrotu to 20-kilogramowa paczka, która nadchodzi do księgarni i którą trzeba dźwigać, rozpakowywać i tak dalej. A czy często na przykład zdarza nam się pomyśleć o tym, że świeża farba drukarska wydawnictw, z którymi „na pierwszy ogień" i masowo styka się przede wszystkim księgarz, zawiera składniki trujące?

Ten handel szlachetny ma swoiste wymagania. Księgarz powinien znać środowiska, jakie zaopatruje, bo od jego zamówień zależy zaopatrzenie w „towar", zaś złe rozpoznanie potrzeb nabywców może mieć opłakane skutki handlowe. Księgarz musi czytać, czyli znać to, co oferuje klientowi, musi mu umieć doradzić. Nie wystarczą enigmatyczne informacje o nowościach, zawarte w cotygodniowych „Zapowiedziach wydawniczych". Kto nie czyta, z tego nie będzie księgarz — powiedział mi jeden z pracowników „Domu Książki".

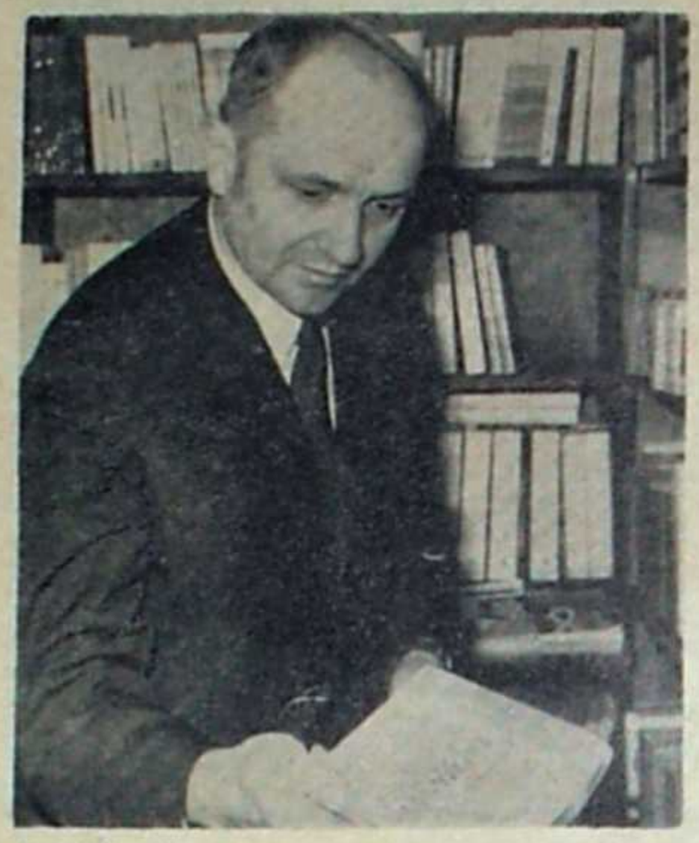

Longin Cypel — Fot. J. Hutar (CAF)

Zawód więc trudny, domagający się wielostronnych dyspozycji psychicznych. Do tego dochodzą jeszcze — rzecz może najtrudniejsza — godziny pracy. Onegdaj w większości księgarnie otwarte były między 11.00 a 19.00. To w ogóle eliminowało księgarzy z możliwości uczestniczenia w tzw. życiu kulturalnym (jak tu pójść do teatru czy zdążyć na ostatni seans filmowy w dniu powszednim?). Na wypoczynek po pracy, życie rodzinne i towarzyskie, rozrywki kulturalne i tak dalej — zostawała niedziela. Jak tu jeszcze znaleźć czas na czytanie?

Obecnie w większości przesuwa się godziny otwarcia między 9.00 a 17.00. Dalej cofać tego nie można, trzeba się liczyć z tym, że przeciętny obywatel kończy pracę o 15.00 i dopiero potem może stać się ewentualnym klientem księgarni. Ale takie rozwiązanie, choć nieco polepsza sytuację, szczególnie księgarzy-mężczyzn, nie wydaje się optymalne. W zawodzie bowiem pracuje większość kobiet, obarczonych zazwyczaj obowiązkami rodzinnymi i domowymi. W związku z czym znowu nie staje czasu na wszystko, co mieści się poza zawodem i poza przyrządzeniem obiadu czy kolacji oraz doglądnięciem potomstwa.

Jeśli księgarstwo nie ma stać się przytuliskiem starych panien, to trzeba pomyśleć o radykalniejszym rozwiązaniu tych spraw. Mówi się na przykład pośród ludzi z tzw. branży o pracy księgarni na zmianę — jedne, powiedzmy, między 8.00 a 16.00, inne między 12.00 a 20.00 (co tydzień mogłaby następować wymiana wśród poszczególnych placówek). Jest to możliwe w dużych miastach, o wielu księgarniach. Inny sposób. Placówka czynna jest między 8.00 a 20.00. Część personelu pracuje w godzinach 8.00—16.00, część zaś w godzinach 12.00—20.00 (po tygodniu wymiana). Jest to możliwe w wypadku największych księgarń. Co jednak zrobić z małymi o 1—2-osobowej obsadzie?

Takie to ogólniejsze kwestie wypłynęły podczas mojej rozmowy z dwojgiem zasłużonych przedstawicieli fachu: Celiną Fijałkiewicz i Longinem Cyplem, których sylwetki prezentuję poniżej. Jedno jest w każdym razie pewne, że wszystkie obiektywne i subiektywne trudności zawodu bardzo szybko wykruszają ludzi przypadkowych. Długoletni zaś pracownik księgarstwa to z reguły człowiek wyjątkowo oddany swej pracy — wbrew kłopotom, jakie ona niesie, umiejący odnaleźć radość w swoim wysiłku.

* * *

Nowa, piękna księgarnia powiatowa w Łukowie, której kierowniczką jest Celina Fijałkiewicz, początkowo miała być... ciastkarnią czy też zakładem krawieckim. Szczęściem kierowniczce i jej sojusznikom udało się przekonać odpowiednie władze. Nowo wybudowany lokal (116 m kw.) został przejęty przez „Dom Książki" w maju 1968 r., w starym pomieszczeniu zostały artykuły papiernicze. Obecnie księgarnia ma trzy osoby merytorycznego personelu, jest placówką wielosortymentową, która regularnie wykonuje plany (obroty rosną: 1 707 tys. zł w r. 1969, 1 855 tys. zł w r. 1970).

Do pracy w księgarstwie przyszła Celina Fijałkiewicz bezpośrednio po ukończeniu technikum ekonomicznego. Jest urodzoną łukowianką, w księgarstwie, czyli — jak powiada — za ladą, pracuje już 21 lat (na stanowisku kierowniczki od 1953 r.). Obecna placówka w porównaniu z dawnym, zagrzybionym i właściwie bez okna wystawowego, lokalem wydawała jej się królestwem, wszelkich udogodnień pełnym. Kłopotów jednak od początku nie zabrakło.

A to kaloryfery pękły, woda zalała książki (część trzeba było przecenić, reszta poszła na przemiał). A to zaopatrzenie w poszukiwane tytuły czasem szwankuje. „Nie ma nieraz czego sprzedawać" — powiada moja rozmówczyni. „A przecie sprzedaż i tak wymaga rozmowy z klientem, nieraz muszę stracić pół godziny, żeby klient książkę wybrał i był zadowolony" — dodaje. Musi regularnie pilnować i przypominać szkołom o obowiązkowym kupnie wydawnictw. Są trudności z rozprowadzeniem książki w teren. Na około 200 ofert wysłanych do rolników sprawujących różne funkcje w kółkach rolniczych przychodzi tylko około 50 zamówień.

Są to kłopoty dość charakterystyczne chyba dla księgarń powiatowych. Ale poradzić sobie można. Nawet zaległe egzemplarze serii „z kolibrem" (nieatrakcyjnej handlowo, z nudnymi, aspirynowo bladymi okładkami) potrafiła kierowniczka sprzedać, umieszczając na wystawie hasło: „Najtańsza książka dla młodzieży!". Niedawno jeden z dobrze obsłużonych rolników nawet list pochwalny do „Gromady" napisał i wydrukowali. Wycinek jest pieczołowicie przechowywany w albumie księgarni. Więc w końcu można sobie, mimo trudności, dobrze radzić.

Na pytanie o życie osobiste, małżeństwo, dzieci — Celina Fijałkiewicz odpowiada: „Jedynym moim celem jest księgarnia, dzieci nie mamy".

* * *

Ostatnie obroty księgarni nr 2 w Lublinie wynoszą rocznie blisko 10 mln zł, średnio rosną one co roku o około 600 tys. zł. Jest to największa pod tym względem placówka na Lubelszczyźnie (około 13 proc. obrotu wydawnictwami rozprowadzanymi przez „Dom Książki" w województwie).

Kierownik tej księgarni, Longin Cypel, związał się na stałe z Lublinem zaraz po wyzwoleniu, kiedy też rozpoczął pracę w księgarstwie. Należy do rocznika „Kolumbów", więc była to właściwie jego pierwsza praca z wyboru i — jak dotąd — ostatnia, aczkolwiek nie zawsze była to praca za ladą.

Zaczęło się w pierwszej bodaj księgarni w Polsce wyzwolonej — od 1945 r. przy ul. Krakowskie Przedmieście 5. Lokal został odziedziczony po sklepie galanteryjnym i wyposażony tylko w prymitywne regały. Książki składowano w starych koszarniach i szopach. Takie były wówczas warunki powojenne.

Longin Cypel pracował później w różnych księgarniach Lublina i na stanowiskach kierowniczych w administracji „Domu Książki". W r. 1958 został zaangażowany w obecnej „swojej" placówce — jako kierownik. Z jego inicjatywy wprowadzono w księgarni cztery działy: literatura społeczno-polityczna (plus językoznawstwo i nauka o literaturze), literatura piękna (także książki dla dzieci), dział wydawnictw matematyczno-przyrodniczych (plus pedagogika i wydawnictwa kartograficzne), magazyn. Lokal ma 145 m kw. powierzchni handlowej i 111 m kw. zaplecza (brak, niestety, urządzeń socjalnych z prawdziwego zdarzenia). Pracuje tu 15 osób.

Jest to więc, jak na skromne stosunki lubelskie, całe przedsiębiorstwo księgarskie, którym kierowanie musi być nadzwyczaj absorbujące. Dlatego też nie rozumiem, jak kierownik znajduje czas na przeróżne prace społeczne i hobby? Jest przewodniczącym Stowarzyszenia Księgarzy Polskich Okręgu Lubelskiego, jest wiceprzewodniczącym rady zakładowej, jest przewodniczącym Okręgowego Sądu Organizacyjnego (dla wędkarzy), sam łowi ryby, zbiera książki pod kątem popularyzacji nauki, zdążył skończyć trzyletnie pomaturalne kursy korespondencyjne księgarstwa... Posiada Srebrny Krzyż Zasługi, Srebrną Odznakę Wzorowego Księgarza, dyplomy Prezydium WRN, Ministerstwa Kultury i Sztuki. I posiada... dwie dorosłe córki.

Widać księgarze to już taka nacja, która mimo niedogodnych godzin pracy potrafi znaleźć czas na wszystko. Ciekawy jestem, kosztem czego?

25

PANI Danuta Hulpowska należy do najstarszych stażem pracowników Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. H. Łopacińskiego. W tym roku będzie obchodziła dwudziestopięciolecie pracy zawodowej i — co ciekawsze — w tej samej placówce, filii „Trybunał", na Starym Mieście w Lublinie.

Zawód bibliotekarza wybrała przypadkiem. Po zdaniu matury młoda dziewczyna przybyła do Lublina z Wileńszczyzny i zaczęła się rozglądać za jakąś posadą. Początkowo myślała o zawodzie nauczycielki — chciała kontynuować tradycje rodzinne. Ale w Wydziale Za-

Jakie mamy

Komitety Powiatowe PZPR powinny traktować biblioteki jako część składową szerokiego frontu ideologicznego i z tego punktu widzenia powinny analizować działalność i potrzeby bibliotek powiatowych.

(Wydział Propagandy KW PZPR w Lublinie: „Stan i perspektywy rozwoju bibliotek publicznych Lubelszczyzny", 22.II.71).

NIEZALEŻNIE od tego z jakiej strony spojrzymy na zagadnienie bibliotekarstwa na Lubelszczyźnie, zawsze na pierwszy plan wysuwać się będzie sprawa bibliotek wiejskich. Ich problemy, ich osiągnięcia, kłopoty i potrzeby.

Mamy w województwie 603 biblioteki (mowa o bibliotekach publicznych a nie związkowych, szkolnych czy uczelnianych), z czego 525 działa na wsi. Mamy 2197 punktów bibliotecznych, z czego 2146, czyli przytłaczająca większość, działa w środowisku wiejskim. Przy bibliotekach istnieje 189 czytelni, ale aż 140 to placówki wiejskie. Księgozbiór bibliotek publicznych przekracza 3 miliony tomów, ale z tego prawie 2 miliony krążą wśród czytelnika wiejskiego. Wreszcie — kadra: według stanu z 1 stycznia 1971 r. biblioteki publiczne zatrudniały 835 pracowników działalności podstawowej — 531 spośród nich pracowało na wsi. I nawet pamiętając o tym, że procent etatów w bibliotekach wiejskich Lubelszczyzny należy do najniższych w kraju, łatwo sobie uzmysłowić, jak wielki jest zakres oddziaływania bibliotek na kształtowanie świadomości ideologicznej i kultury naszego środowiska wiejskiego. Tym bardziej, że od szeregu lat zmienia się w sposób zasadniczy praca tych placówek.

Wraz z ogromnym rozwojem telewizji i pełną już niemal radiofonizacją wsi, wyłoniły się przed bibliotekami problemy odejścia od dawnego modelu oddziaływania. Podobne problemy mają zresztą także na przykład placówki muzealne. Poza umożliwieniem widzowi oglądania ekspozycji, główny punkt ciężkości przenosi się na aktywne uczestniczenie zwiedzających w organizowanych dyskusjach, quizach odczytach itp. Dotyczy to głównie młodzieży, która ma być „wychowywana przez sztukę", a nie tylko — uczona patrzenia na sztukę. Podobnie rzecz ma się z „wychowaniem przez książkę", czego jeszcze w pełni nie doceniamy.

Liczne akcje organizowane przez biblioteki ukierunkowują zainteresowania czytelników, wskazują nowe, istotne problemy współczesnego świata, umożliwiają poznanie i zrozumienie skomplikowanych procesów społecznych, politycznych i ekonomicznych, rozgrywających się wokół nas. Stąd stałe zapotrzebowanie bibliotek na pomoce audio-wizualne na magnetofony, adaptery projektory filmowe.

W ten sposób biblioteka, z dotychczasowej „wypożyczalni książek" zamienia się w placówkę kulturalną w szerokim pojęciu tego słowa, przekształca się — szczególnie na wsi — w rodzaj domu kultury, jest katalizatorem życia kulturalnego i społecznego w danej miejscowości.

Tylko w ostatnich dwóch latach biblioteki publiczne na Lubelszczyźnie zorganizowały wiele masowych imprez: spotkania, quizy, konkursy czytelnicze, wystawy; dotyczyły one 25-lecia PRL, wyborów do Sejmu i rad narodowych, 25 rocznicy zwycięstwa nad faszyzmem, setnej rocznicy urodzin W. I. Lenina. Organizowane były w ramach ogólnopolskiego współzawodnictwa: „Pomnażamy dorobek Polski Ludowej". Trzeba przy tym podkreślić, że biblioteki potrafiły nawiązać współpracę z instytucjami politycznymi i społecznymi na swoim terenie.

Wojewódzki turniej wiedzy o Leninie, w którym wzięło udział 83 tysiące osób, stał się inspiracją do późniejszej inicjatywy centralnej. Wiele bibliotek wiejskich uczestniczyło w ogólnopolskim konkursie — „Złoty kłos dla twórcy, srebrne dla czytelników". Niezależnie od tego powiaty występowały z własnymi, różnorodnymi inicjatywami. Na przykład bibliotekarze opolscy zorganizowali akcję: „Pogłębiamy wiedzę o Polsce Ludowej", powiat lubartowski — „Czy znasz świat współczesny?", parczewski — „Co wiem o Polsce?". Nic dziwnego, że w ogólnopolskim współzawodnictwie bibliotecznym, podsumowanym w końcu ubiegłego roku, nagrodzono powiatową bibliotekę w Opolu, gromadzkie biblioteki w Garbowie i Okszowie, a Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. H. Łopacińskiego, mająca ogromny wkład w działalność instrukcyjno-metodyczną w terenie, otrzymała II nagrodę w skali krajowej.

W bieżącym sezonie czytelniczym biblioteki województwa położyły szczególny akcent na upowszechnianie literatury społeczno-politycznej, ekonomicznej, technicznej, rolniczej i współczesnej literatury pięknej. Biblioteki uczestniczą także w ogólnopolskiej akcji — „Bliżej książki współczesnej", „Złoty kłos..." oraz — „Jak upowszechniam książkę radziecką". Konkurs dla punktów bibliotecznych, dotyczący upowszechniania literatury rolniczej, realizowany jest wspólnie ze Związkiem Młodzieży Wiejskiej.

Za witryną księgarstwa

Dokończenie ze str. 1

Lubartów), wybudowano 33 takie obiekty, tj. najwięcej w porównaniu z innymi województwami. Są to budynki wznoszone według projektów typowych, a skonstruowane z prefabrykatów, na zewnątrz obmurowanych cegłą. Kosztowały stosunkowo tanio: od 125 do 400 tys. zł. każdy (w zależności od kubatury obiektu). Trwałość oblicza się na lat 20, lecz od początku istnieją kłopoty eksploatacyjne. Po prostu ogrzać trudno, szczególnie te większe budynki (100 i 150 m kw.) — wobec braku kanalizacji i — straszny termin — gazyfikacji „głębokiego terenu" Lubelszczyzny. Piece węglowe nie mogą sprostać zadaniu, skoro ścianki zbyt cienkie, a przydział węgla też w końcu nie taki nieograniczony. Czasem ponadto zdarza się i tak, że dach „puszcza" (nie tylko „przepuszcza"), gdy opady atmosferyczne przekraczają umiarkowane prognozy telewizyjnej „Chmurki".

Pawilony, których wystrój niejednokroć imponuje „na oko" i których kierownikami są ludzie młodzi, wykształceni w technikach księgarskich, to pomysł dobry, nawet bardzo dobry, żeby zadośćuczynić najniezbędniejszym, doraźnym potrzebom tzw. terenu, lecz równocześnie zostało to podjęte trochę z myślą o „zatkaniu dziury", a nie z refleksją na dystans dłuższy. Notabene kredyty przyznane przez Prezydium Rządu już zostały wyczerpane i sprawę pawilonów można uważać za zamkniętą. W każdym razie nie jawi się tu przedsięwzięcie — cały czas mówię i będę mówił o placówkach „Domu książki" — mogące w zaniedbanych rejonach typu Lubelszczyzny zapewnić radykalną zmianę sytuacji. Na to zresztą dokładnie zdają się wskazywać cytowane poprzednio, a przecie nieodparte aktualne cyfry. Stan rzeczy ciągle jest niezbyt krzepiący, skoro w kraju na jeden „Dom Książki" wypada przeciętnie 186,4 km kw., zaś w Lubelskiem — 288,7 km kw.! I to wszystko w kontekście faktu, że pawilony zbudowane w ostatnim dziesięcioleciu stanowią ogromną większość pośród — obecnie — 46 lubelskich księgarń „poniżej powiatu".

Zbyt rzadka statystycznie sieć księgarń to wszak nie jedyny powód niedostatecznego rozprowadzenia wydawnictw wśród ludności Lubelszczyzny, a co za tym idzie — niesprawnego czytelnictwa w naszym regionie. Szłoby także o faktyczne rozmieszczenie tej sieci, a przede wszystkim o warunki lokalowe placówek „Domu Książki" (pojemność pomieszczeń handlowych i zaplecza, ilość witryn wystawowych...). Wedle zdecydowanej i kompetentnej informacji dyrektora wojewódzkiego „Domu Książki" w Lublinie, Władysława Wójcika, cały nasz region plasuje się pod tym względem na ostatnim miejscu w kraju!

Księgarnia księgarni nie równa, obliczenie liczby mieszkańców i kilometrów kwadratowych, przypadających na jedną placówkę, tylko w przybliżeniu określa sytuację w dziedzinie, pięknie zwanej: upowszechnieniem książki w społeczeństwie. Weźmy choćby na przykład pow. Radzyń. Pozornie wszystko w porządku: 19 160 mieszkańców na księgarnię, a więc lepiej nawet niż średnia wojewódzka, oraz 307 km kw. na księgarnię, zatem tylko minimalnie gorzej od średniej wojewódzkiej. 5 księgarni w powiecie. Jak na stosunki lubelskie — całkiem przyzwoite wskaźniki. Spójrzmy jednak na powierzchnię handlową wszystkich placówek — wynosi ona raptem 137 m kw., czyli na metr kw. tej powierzchni przypada 699 mieszkańców (przy średniej wojewódzkiej — 505 osób). Nic więc dziwnego, że Radzyńskie zajmuje jedną z najniższych pozycji w dziedzinie rocznej sprzedaży książek na osobę — 12,30 zł (średnia wojewódzka — 28 zł). Lokale są ciasne, co utrudnia ekspozycję wydawnictw, zatem kładzie ope-

Kamena str. 6

LAT...

trudnienia w owym czasie potrzebowano albo pielęgniarek, albo bibliotekarek. Ostatecznie zdecydowała się na to drugie, praca w bibliotece ma więcej wspólnego z pedagogiką.

W lipcu 1946 r. otrzymała skierowanie do ówczesnej Miejskiej Biblioteki Publicznej mieszczącej się w gmachu Trybunału Lubelskiego. Biblioteka w Trybunale istniała również przed wojną, była ona wówczas placówką Zarządu Miejskiego. Szczęśliwym trafem większość księgozbioru ocalała i zaraz po ustaniu działań wojennych biblioteka mogła wznowić działalność.

Zanim znalazły się pieniądze na zakup nowych książek, korzystano z pomocy okolicznych mieszkańców ofiarowujących własne książki. W pierwszych latach po wyzwoleniu stosowano jeszcze jedną metodę kompletowania księgozbioru — każdy nowy członek biblioteki musiał wnieść jako „wpisowe" przynajmniej jedną książkę. W owych czasach bibliotece miejskiej w Trybunale podlegały 3 filie: przy ul. Kunickiego, Konopnickiej i na Kalinowszczyźnie.

W 1948 r., po reorganizacji lubelskich bibliotek, p. Hulpowska otrzymała stanowisko kierowniczki filii bibliotecznej „Trybunał" i funkcję tę pełni do dnia dzisiejszego. Filia dysponuje księgozbiorem złożonym z 14 tys. tomów, korzysta z niego około 3 tys. czytelników. Codziennie przez niewielkie pomieszczenie na pierwszym piętrze Trybunału przewija się dwieście osób.

Marzeniem kierowniczki jest otrzymanie nowego lokalu dla podległej jej placówki, lokalu dysponującego odpowiednim magazynem i salką mogącą służyć jako świetlica i czytelnia czasopism. Wymagania skromne, ale w obecnych warunkach staromiejskich, jakże trudne do zrealizowania. A o przeniesieniu biblioteki do innej dzielnicy nie może być mowy. Biblioteka w Trybunale zrosła się już na stałe z klimatem Starego Miasta, jest niezbędna jego mieszkańcom.

(md)

biblioteki?

Mirosław Derecki

Współczesny bibliotekarz to nie tylko człowiek wypożyczający książki, ale co najmniej w równej mierze działacz kultury, działacz społeczny i polityczny w swoim środowisku. Wchodzi nierzadko w skład komitetów czynów społecznych, miejscowych komisji kultury, wielu bibliotekarzy sprawuje funkcje radnych terenowych rad narodowych. Niemal połowa, 47,6 proc., bibliotekarzy należy do partii i stronnictw politycznych. 220 jest członkami PZPR.

Bibliotekarzem jest się nie tylko z zawodu. Jest się nim również z powołania. Bo jakże inaczej tłumaczyć postawę licznych jednostek, które przez długie lata trwają na swoich stanowiskach, mimo że warunki w jakich pracują są nieraz więcej niż trudne?

I tutaj miejsce na przedstawienie szeregu niewesołych problemów, które utrudniają właściwe funkcjonowanie bibliotek na Lubelszczyźnie. Przede wszystkim — złe warunki lokalowe. Sytuacja w tym względzie jest szczególnie ciężka na wsi i tylko bardzo powoli ulega poprawie. Jeszcze ponad 100 bibliotek nie ma odpowiednich pomieszczeń. Posiadane są zbyt małe i, co się często podkreśla, zimne. Najgorzej przedstawia się sytuacja w powiatach: zamojskim, hrubieszowskim, kraśnickim, bialskim i krasnostawskim. W zdecydowanie złych warunkach pracują biblioteki w Dubowie, Dobratyczach i Jabłecznej w powiecie bialskim, w Dubience w powiecie hrubieszowskim, czy w Zakrzówku i Urzędowie w kraśnickim. Wiele bibliotek ma sprzęt przestarzały i zniszczony, wymagający wymiany. Większość punktów bibliotecznych nie posiada szafek na książki. Istnieje ogromne zapotrzebowanie na pomoce audio-wizualne.

Wprawdzie sumy przeznaczone na zakup sprzętu były w niektórych powiatach dość znaczne, a z funduszy Wydziału Kultury PWRN oraz Biblioteki im. H. Łopacińskiego przeznaczono na ów sprzęt niebagatelną kwotę 206 927 zł, dokładając jeszcze w formie nagród 27 500 zł, wprawdzie gromadzkie rady niektórych powiatów także przeznaczyły pewne sumy — ale to wszystko i tak jest kroplą w morzu potrzeb. Bibliotekom trzeba w ciągu najbliższych 5 lat ponad 3 tysiące regałów, 850 stolików, 3600 krzeseł, 270 rzutników, 220 adapterów, 170 radioodbiorników, 100 magnetofonów. Oczywiście, jeśli chcemy mieć bazę dla bibliotek w pełni zmodernizowaną i przystosowaną do wymogów, jakie stawiamy przed nowocześnie pojmowaną działalnością biblioteki i bibliotekarza w terenie.

Drugie wielkie zagadnienie to pieniądze na gromadzenie księgozbioru. Od kilku lat Lubelszczyzna pozostaje na jednym z ostatnich miejsc w kraju jeśli chodzi o wysokość sum przeznaczanych na zakup książek. Przeliczając wydatki na książki „na głowę 1 mieszkańca" naszego województwa — wynoszą one 2,22 zł rocznie, podczas gdy już w 1969 r. przeciętna krajowa wynosiła 3 zł. Budżety naszych rad narodowych w tym względzie były bardzo niskie, a niektóre powiaty w ogóle nie zabezpieczyły sum na ten cel. Zalecenia Wydziału Kultury PWRN, by począwszy od 1971 r. fundusze na książki były kształtowane co najmniej w wysokości 3 zł na 1 mieszkańca, zostały zrealizowane, jak dotąd, tylko w powiecie parczewskim. W 12 powiatach województwa fundusze te nie sięgają nawet 1 złotego. W 1970 r. na zakup książek wydano 4 370 tys. zł, ale w tej sumie mieści się 1 150 tys. zł uzyskanych z rezerwy wojewódzkiej i dofinansowania Ministerstwa Kultury i Sztuki. Sam budżet terenowy wynosił ok. 3,2 miliona, gdy tymczasem w myśl założeń Wojewódzkiego Sejmiku Kultury należałoby przeznaczyć na zakup książek blisko 6 milionów złotych. Brak pieniędzy odbił się „przy okazji" na akcji popularyzowania czasopism, które odgrywają przecież niepoślednią rolę w kształtowaniu świadomych postaw społeczeństwa. Biblioteki zmuszone były do zmniejszenia i tak już niskich funduszów na prenumeratę. W większości powiatów wydatki nie sięgają obecnie nawet połowy sumy koniecznej na opłatę czasopism.

Wreszcie sprawy kadrowe: zawodowe przygotowanie bibliotekarskie posiada na wsi zaledwie co dwudziesty bibliotekarz. W miastach jest znacznie lepiej, przygotowanie takie ma dwie trzecie pracowników. Wprawdzie przy Bibliotece Wojewódzkiej w Lublinie aktywnie działa Punkt Konsultacyjny Państwowego Ośrodka Kształcenia Korespondencyjnego Bibliotekarzy w Warszawie, wprawdzie każdego roku ma on mnóstwo zgłoszeń z terenu, ale też zaznacza się ciągła fluktuacja kadry bibliotekarskiej, szczególnie na wsi. Już od kilku lat rezygnuje corocznie z pracy 15—20 proc. wiejskich bibliotekarzy. Przyczyny takiego stanu rzeczy są różne.

Pozostają na stanowiskach bibliotekarze z powołania. W dużej mierze przyczyną odejścia są wspomniane już na początku artykułu złe warunki lokalowe, zniechęcanie wobec braku odpowiedniego sprzętu, no i fakt, że prezydia GRN nie zawsze zatrudniają ludzi najbardziej odpowiednich, rozumiejących złożoność sytuacji w obecnej chwili.

Wydział Propagandy KW PZPR w opracowaniu „Stan i perspektywy..." stwierdza wyraźnie, że *wynika konieczność specjalnej troski rad narodowych o zabezpieczenie należytych środków na zakup księgozbiorów. Takie szukanie dodatkowych funduszy na zakup książek poza resortem kultury nie dało spodziewanych efektów. Zalecenia uchwały KW PZPR w sprawie głównych kierunków pracy kulturalno-oświatowej na wsi, mówiące o przekazywaniu środków na zakup książek przez kółka rolnicze, a także państwowe gospodarstwa rolne, nie były w pełni realizowane.* Podkreśla się też konieczność zabezpieczenia środków finansowych w budżetach rad narodowych na zakup książek do wysokości 3 zł na 1 mieszkańca w latach 1971—1972 i postuluje dążenie do zwiększenia tych funduszy do 4 zł w 1975 r.

Oczywiście, dużo się w ostatnich latach zmieniło w sytuacji bibliotek na lepsze. Należy podkreślić wiele cennych inicjatyw, szczególnie jeśli chodzi o polepszenie warunków lokalowych na wsi. Bardzo udany był na przykład pomysł zaadaptowania dawnych budynków szkolnych dla potrzeb bibliotek w Przewłoce i Chmielowie w powiecie parczewskim. Aktualnie prowadzi się prace adaptacyjne budynku GRN w Puchaczowie, części remizy strażackiej w Łuszczowie i remizy w Krasieninie. Chociaż wolno, ale systematycznie ulega poprawie stan zaplecza bibliotek.

Nie ulega kwestii, że spora liczba bibliotek pracuje w warunkach dobrych lub bardzo dobrych, jak na przykład placówki w Puławach, Krasnymstawie czy wsiach: Adamów w powiecie łukowskim, Dziekanów w lubartowskim, lub Głusk w lubelskim. Ale też założeniem niniejszego artykułu nie było pisanie laurki z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy, lecz przedstawienie w sposób obiektywny istniejącego stanu rzeczy: trudności z jakimi wciąż jeszcze spotykają się bibliotekarze, podkreślenie ich godnej szacunku postawy społecznej i zawodowej oraz skłonienie ogółu czytelników — obywateli naszego województwa do zastanowienia się nad środkami zaradczymi, do wyzwolenia społecznej inicjatywy.

Są jeszcze duże możliwości poprawy choćby w nawiązaniu ścisłego kontaktu z wojewódzkimi władzami szkolnymi, w zwróceniu uwagi na opuszczane budynki szkolne, które mogłyby dać schronienie bibliotekom, na pozostawiony często swojemu losowi bezużyteczny już sprzęt szkolny — szafki, stoły, regały. Chyba odciążyłoby także bibliotekarzy w ich licznych zajęciach nawiązanie stałej, odpłatnej współpracy z emerytowanymi nauczycielami, zamieszkałymi na wsi.

W czołówce krajowej

Krystyna Lisowska

BIBLIOTEKI pedagogiczne — jako placówki specjalne — prowadzą, zgodnie ze swym statusem, biblioteczną działalność usługową i dydaktyczną w zakresie kształcenia i doskonalenia zawodowego pracowników pedagogicznych. Umożliwiają im, a w każdym razie znacznie ułatwiają, wykonywanie prac naukowo-badawczych, rozwijają życie umysłowe i kulturalne nauczycieli.

Placówki te obejmują swym zasięgiem całe nasze województwo, począwszy od Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Lublinie, poprzez odpowiednie biblioteki powiatowe (z wyjątkiem pow. Lublin), a skończywszy na działach nauczycielskich w bibliotekach szkolnych.

Samodzielnych placówek ma więc Lubelszczyzna 19. Poza gromadzeniem i udostępnianiem zbiorów oraz działalnością informacyjną, bibliograficzną lub badawczą, biblioteki owe zajmują się również instruktażem dla działów nauczycielskich w bibliotekach szkolnych. Placówka zaś wojewódzka — instruktażem dla bibliotek powiatowych.

Zgodnie ze swym przeznaczeniem biblioteki pedagogiczne gromadzą:

a) wszelkiego rodzaju prace i materiały z zakresu pedagogiki i nauk pokrewnych (psychologia, socjologia i inne);
b) literaturę naukową i popularnonaukową związaną z przedmiotami nauczania w szkołach ogólnokształcących, zawodowych i zakładach kształcenia nauczycieli oraz literaturę niezbędną dla nauczycieli studiujących zaocznie na wyższych uczelniach;
c) literaturę dotyczącą historii oświaty i szkolnictwa.

Pośród tych pozycji na szczególną uwagę zasługują wychodzące ostatnio serie: „Biblioteka Nauczyciela", „Biblioteka Kształcenia Zawodowego", „Biblioteka Samokształcenia". Pozostałą część księgozbioru stanowi literatura społeczno-polityczna, piękna i naukowa potrzebna do realizacji programu szkolnego.

Z końcem roku 1970 księgozbiór bibliotek pedagogicznych województwa liczył ponad 270 tys. woluminów (45 proc. zbiorów to literatura pedagogiczna).

Ponadto biblioteki gromadzą czasopisma fachowe. Szczególnie cenny jest zbiór Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej, który zawiera między innymi czasopisma pedagogiczne sprzed I i II wojny światowej (około 50 tytułów). Do najcenniejszych zaliczyć należy: „Przegląd Pedagogiczny", „Nowe Tory" (miesięcznik poświęcony oświacie i wychowaniu), „Czasopismo Pedagogiczne", „Kwartalnik Pedagogiczny", „Nauka Polska", „Muzeum".

Pracę bibliotek pedagogicznych województwa dobrze ilustruje działalność wypożyczalni i czytelni:

Rok	Liczba bibliotek	Liczba woluminów	Liczba czytelników	Liczba wypożyczeń	Średnia wypożyczeń na 1 czytel.	Średnia krajowa
1944	1	8 000	57	166	2,9	—
1954	13	60 000	4 648	29 381	6,3	—
1964	19	185 598	11 660	159 900	13,7	9,0
1970	19	270 956	13 503	182 887	13,5	9,5

Znaczne jest wykorzystanie literatury społeczno-politycznej, średnia wypożyczeń: 2,5 książki na jednego czytelnika.

Dodać trzeba, że pod względem zasięgu i ogólnej średniej wypożyczeń biblioteki pedagogiczne Lubelszczyzny znajdują się w czołówce krajowej.

Do pobudzenia zainteresowań książką pośród nauczycieli przyczynił się przede wszystkim wybór przez Instytut Pedagogiki naszego województwa jako poligonu eksperymentu pedagogicznego.

Z analizy czytelnictwa literatury pedagogicznej wynika, że w okresie reformy szkolnej i rozwijającego się eksperymentu oświatowego największą poczytnością cieszą się wśród nauczycieli nie studiujących książki związane z nowatorstwem pedagogicznym, metodyką nauczania poszczególnych przedmiotów, pozycje propagujące nowe metody nauczania, książki związane ze znajomością psychologii dziecka i młodzieży. Studiujący zaś wykorzystują poza wymienionymi wydawnictwami podręczniki pedagogiki, historii wychowania, wszelkie lektury związane z programami studiów. W tym okresie daje się też zauważyć zwiększone zainteresowanie czasopismami pedagogicznymi.

Regulamin przewiduje, że czytelnikami mogą być nauczyciele, pracownicy naukowi, kulturalno-oświatowi i osoby przygotowujące się do zawodu nauczycielskiego, prowadzący działalność pedagogiczną lub zainteresowani w pogłębianiu wiedzy pedagogicznej. Podstawowym celem działalności omawianych placówek jest wszakże rozwijanie czytelnictwa pośród samych nauczycieli. Szczególnie szloby o pozyskanie nauczycieli studiujących, pracujących na wsi, oraz nauczycieli szkół wiodących.

Spośród ponad 3 500 nauczycieli studiujących (z lubelskiego okręgu szkolnego) z bibliotek pedagogicznych korzysta 2 568 osób. Jeśli idzie o nauczycieli wiejskich szkół podstawowych, to korzysta z bibliotek 7 367 osób, co stanowi 63,3 proc. ogółu czytelników — nauczycieli. Dla odbiorcy z terenu wprowadzono wypożyczanie międzybiblioteczne oraz drogę pocztową.

Pracę pedagogiczną z czytelnikiem prowadzą przede wszystkim działy informacyjno-bibliograficzne, zarówno dla potrzeb czytelnika indywidualnego, jak i dla potrzeb zespołowych.

Czytelnik indywidualny najczęściej pyta o eksperyment pedagogiczny, nowe metody nauczania, wybór zawodu, wychowanie patriotyczne, moralne, estetyczne, aktywność dziecka, osobowość nauczyciela. Informacje dotyczą również zagadnień związanych z rocznicami i obchodami państwowymi, kulturalnymi i szkolnymi.

W roku 1970 udzielono 7 151 informacji bibliograficznych, co dowodzi ogromnego zapotrzebowania ze strony czytelników na tego rodzaju usługi.

Informację zbiorową i propagandę książki oraz czytelnictwa prowadzą biblioteki poprzez sporządzanie zestawień bibliograficznych na tematy dotyczące głównie nauczania i wychowania, wydawanie biuletynów nabytków pedagogicznych, urządzanie wystaw na konferencje organizowane przez administrację szkolną, ośrodki metodyczne, bądź ZNP, urządzanie wystawek okolicznościowych w bibliotekach. Z innych form informacji zbiorowej trzeba wymienić prowadzenie lekcji bibliotecznych z młodzieżą szkół średnich i praktyk studenckich.

Praca bibliotek pedagogicznych ciągle jeszcze napotyka na trudności lokalowe. W powiatach brak pomieszczeń na magazyny i czytelnie. Znacznie natomiast poprawiły się warunki Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej z chwilą przeniesienia jej do nowego lokalu. Obecnie posiada ona dużo większy metraż. W czytelni znajdują nauczyciele i studiujący klimat do spokojnej pracy naukowej, co było niezbędne wobec wzrastających wymagań w stosunku do pracowników pedagogicznych.

---

ratywność handlową radzyńskich księgarń. W tragicznych wprost warunkach działa księgarnia powiatowa w samym Radzyniu. Na 24 m kw. powierzchni handlowej i 19 m kw. zaplecza pracują 4 osoby. Jest tylko jedno i w dodatku ciasne okno wystawowe. Jak powiada dyr. Wójcik — na razie brak realnych perspektyw na rozwiązanie tej sytuacji.

Przykład radzyński prowadzi do dysproporcji numer 2 i 3 — między miastem Lublinem a resztą województwa, z jednej strony, oraz między powiatami, z drugiej. Na średnie wskaźniki wojewódzkie, które i tak w skali kraju są mizerne, „pracuje" przede wszystkim sam Lublin i dwa, trzy powiaty (głównie Puławy). Reszta terenu lokalizuje się znacznie poniżej owych średnich. Znów będą cyfry, które są nieśmiertelne i obiektywne. Miasto Lublin — sprzedaż: 110,44 zł, liczba osób na metr kw. powierzchni handlowej: 247. Dalej powiatami. Puławy — analogicznie: 28,24 zł (jedyny powiat powyżej przeciętnej wojewódzkiej) oraz 623 osoby. Bychawa — 8,19 zł (!) oraz 693 osoby. Tomaszów — 14,36 zł oraz 974 osoby (!). Parczew, posiadający jedną jedyną księgarnię na cały powiat (!) — 14,62 zł oraz 869 osób. Już to zestawienie dobrze ilustruje całą gradację dysproporcji, o których była mowa.

Głównym moim celem jest ogólne przedstawienie stanu lubelskiego księgarstwa. Adresuję to przede wszystkim do ludzi kompetentnych w materii naprawy tej sytuacji, która zresztą dojrzała i do tego, by nią zaniepokoić opinię społeczną.

Był kiedyś ogólnopolski pomysł, żeby połączyć Centralę Księgarstwa „Dom Książki" ze Zjednoczeniem Upowszechniania Prasy i Książki „Ruch" — dla stworzenia większej jednostki, silniejszej gospodarczo i bardziej operatywnej pod względem handlowym. Niedawno zrezygnowano z tego pomysłu, widać ewentualne kłopoty przeważyły spodziewane plusy takiej fuzji. Pkt. 3, § 1 pisma Prezydium Rządu odwołującego poprzednie postanowienia brzmi następująco: „(uregulować) zasady hurtowego zaopatrywania w wydawnictwa nieperiodyczne Klubów Międzynarodowej Prasy i Książki „Ruch", klubów wiejskich „Ruchu" oraz sklepów i kiosków „Ruchu"." Niebawem zasady owe zostaną ustalone na szczeblu ministerstw.

W tym istotnie tkwi problem ważny. Skoro bowiem idzie w końcu o jak najszersze i najsprawniejsze zaopatrzenie społeczeństwa w wydawnictwa, to nie widać powodu, dla którego nie miałyby być w tym celu wykorzystane — lepiej niż dotychczas — liczne przecie placówki „Ruchu". Rozwiązanie tej kwestii nabiera szczególnego znaczenia na Lubelszczyźnie, gdzie sieć i warunki lokalowe księgarń „Domu Książki" są bardzo słabe. Nie oznacza to, oczywiście, by rezygnować z naprawy stanu samego księgarstwa, kiedy takie możliwości się otwierają. Dlatego dziwić muszą przypadki, których przykładem jest stanowisko Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Zarząd LSM-u, znany przecie z przychylności dla rozmaitych inicjatyw społecznych (jak choćby w kwestii mieszkań dla nauczycieli), nie odpowiedział nawet na pismo „Domu Książki" w sprawie lokalizacji księgarni na terenie jednego z osiedli. Wiadomo przy tym, że ma na LSM-ie powstać ogromny kombinat najrozmaitszego rodzaju pawilonów handlowych. Czyżby nie znalazło się miejsce na lokal księgarski? Kto jest w mocy podjąć taką decyzję, skoro podejmuje się i takie — na szczęście nie zrealizowane — by istniejącą księgarnię zamienić na... knajpę? Ogólnie rzecz biorąc, należałoby — nie znajduję lepszego słowa — zmobilizować rady narodowe, szczególnie w terenie, aby bardziej dbały o możliwości zabezpieczenia lokalizacji nowych obiektów księgarskich, tym więcej, gdy znajdują się na ten cel fundusze.

Dziecinadą byłoby wymaganie — w sytuacji ekonomicznej naszego kraju — jakiegoś generalnego zwiększenia funduszów inwestycyjnych dla potrzeb księgarstwa. Należy raczej myśleć o optymalnym wyzyskaniu istniejących środków. Lecz przede wszystkim o dalszym doskonaleniu pracy działających już placówek. Może więc dlatego na zakończenie mały przykład.

Istnieje w Polsce wiele ważnych rocznic i uroczystości, które powinniśmy obchodzić. Istnieje jednak wiele mniej ważnych. Nie sądzę zatem, by każda taka okazja musiała zostać uczczona odrębną witryną księgarską. Bo w końcu zabraknie miejsca na normalny przegląd nowości wydawniczych, a to przecie jest głównym zadaniem okna wystawowego. Czy Święty Mikołaj obrazi się, jeśli mu księgarz nie poświęci specjalnej wystawy z drogimi książkami na gwiazdkę? Z pewnością nie jest to najważniejsze z pytań, przed jakimi stoi lubelskie księgarstwo. Lecz — myślę — zaczynać trzeba od pytań najbardziej szczegółowych, na przykład o sensowny wybór formy zadośćuczynienia pewnym uroczystościom.

Maciej Podgórski

Kamena str. 7

Porównania

10 lipca 1939 roku ukazał się ostatni przed wojną „Mały Rocznik Statystyczny" („Dużego" nie publikowano). Jeden z 85 tys. egzemplarzy zachował się w mojej bibliotece. Z niego to czerpię dane dotyczące roku 1938, porównując je z najbardziej aktualnymi za rok 1970, uprzystępnionymi mi przez Wojewódzki Urząd Statystyczny oraz zainteresowane instytucje i przedsiębiorstwa. Należy dodać, że przedwojenne województwo lubelskie było większe o 6300 km kwadratowych (o 26 proc.) i miało 509 tys. mieszkańców więcej (także o 26 proc.). W tej sytuacji dysproporcje okazują się jeszcze większe.

Oświata

		1938	1970
Liczba szkół podstawowych		2016	1970
w tym na wsi		1862	1333
Liczba uczniów w tys.		353,5	307,0
w tym na wsi		288,1	208,5
Liczba dzieci poza szkołą w tys.		36,7	1,5
Szkoły podstawowe pełnoklasowe		203	1461
Uczniowie w szkołach pełnoklasowych w tys.		88,4	294,4
Pomieszczenia do nauki		5247	11 617
w tym własne		2715	10 341
Liczba szkół zawodowych		66	547
Liczba uczniów w tys.		7,9	82,1
Liczba szkół średnich ogólnokształcących		70	58
Uczniowie w tych szkołach w tys.		11,8	23,1
Liczba szkół wyższych		1	5
Liczba studentów w tys.		1,4	19,9
w tym studia dzienne		1,4	12,6
studia wieczorowe		—	0,9
studia zaoczne		—	5,5
studia eksternistyczne		—	0,9
Liczba miejsc w domach studenckich		—	4039
Liczba stypendiów		29	9794
Procent studentów otrzymujących stypendia		2,1	49,2

Biblioteki

Liczba bibliotek publicznych		599	604
Liczba woluminów w tys.		454,5	3 053,4
Liczba wypożyczeń w tys.		954,2	5 579,1
Liczba bibliotek w szkołach podstawowych	ok.	1750	1 981
Liczba woluminów w tys.	ok.	380	4 175

Teatry i muzea

Liczba teatrów		(1)	3
Liczba widzów w tys.	ok.	15	614,6
Liczba filharmonii		—	1
Liczba słuchaczy w tys.		—	259,4
Liczba muzeów		2	22
Widzowie w tys.		?	749

(W ostatnich latach przed wojną Lublin nie posiadał własnego teatru, natomiast w sumie przez 10—12 tygodni w roku dawała spektakle scena objazdowa Teatru Wołyńsko-Lubelskiego z Łucka. Liczbę widzów podano szacunkowo wg opinii ówczesnych środowisk kulturalnych, gdyż dokładnych danych brak).

Prasa

Liczba tytułów pism codziennych		6	2
Nakład dzienny w tys.	ok.	10	214,3
Liczba tytułów czasopism		1	2
Nakład jednorazowy czasopism w tys.		0,3	31
Liczba tytułów pism zakładowych		—	5
Nakład jednorazowy pism zakładowych w tys.		—	17
Sprzedaż roczna gazet i czasopism w mln	ok.	10	123,5
Rocznie na 1 mieszkańca egz.	ok.	5	63,1

Radio i telewizja

Liczba radiostacji	—	1
Program własny w godz.	—	1087
Liczba radioabonentów w tys.	62,6	283,7
Radioabonenci z odbiornikami lampowymi w tys.	18,5	205,1
Radioabonentów na 1000 mieszkańców	26	145
Abonentów telewizji w tys.	—	128,3

Książki

W okresie przedwojennym nie istniało żadne wydawnictwo książkowe, poszczególne drukarnie wydawały czasem pojedyncze książki, kalendarze i broszury, jednak była to działalność dorywcza i przypadkowa.

W 1957 roku powstała Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza, która od 1 stycznia 1961 roku została przekształcona na Przedsiębiorstwo Państwowe „Wydawnictwo Lubelskie".

Oficyna ta, licząc od powstania LSW, do 31 marca 1971 roku wydała 444 tytuły książkowe objętości 4687 arkuszy wydawniczych, łączny nakład książek wyniósł 3 820 tys. egz. Wśród wydanych tytułów 84 obejmują zbiory poezji, a 81 prozę (łączny nakład 958 tys.), 94 to wydawnictwa historyczne (180 tys.), 37 literatura dla dzieci i młodzieży (1 479 tys.), 27 to pamiętniki i wspomnienia (358 tys.), Tylko w 1970 roku nakład wydanych książek wyniósł 718 tys. egz., a wartość katalogowa 10 mln zł.

Na tegoroczne Dni Oświaty, Książki i Prasy Wydawnictwo Lubelskie wydało m. in. takie tytuły: K. A. Jaworski — „Wiersze" (tom I z 12-tomowej edycji), Zenon Konowicz i Jan Zabiński — „Zwierzęta mówią" (album), Monika Warneńska — „Wiatr za progiem" (o Żeromskim), Ferdynand Zamojski — „Ciemność" (powieść współczesna), Wiktor Zawada — „Szukam pana Kalandra' (powieść dla młodzieży), Stanisław Glinka — „Burza majowa" (powieść z czasów okupacji), Aleksander Omiljanowicz — „Duch Białowieży" (powieść sensacyjna), tomiki wierszy Marii Ballod, Czesława Kondraciuka i Zbigniewa Kośmińskiego.

Kamena str. 8

„Mach nauczył mnie kochać Polskę..."

Dokończenie ze str. 1

właśnie z tych względów w tamtych dniach zrodziła się we mnie głęboka sympatia do Polski, jej narodu i kultury, zrodziła się we mnie moja druga Ojczyzna. I przypuszczam, że w Machu wtedy również zrodziła się jego druga Ojczyzna — Bułgaria.

Od tego czasu Mach przyjeżdżał do Bułgarii rok w rok. Jego pogoda ducha i tolerancja wobec wszystkiego, co ludzkie, sprawiały, że w oszałamiającym tempie poszerzał swoją znajomość i wiedzę o Bułgarii. To zaś zbliżyło go do szerokiego kręgu ludzi.

Nie peszyła go nawet — co dla mnie za granicę zawsze stanowiło przeszkodę uciążliwą i krępującą — bariera językowa. Rosyjski, którym się wpierw posługiwał, zaczął coraz bardziej nasiąkać bułgaryzmami, tak że wreszcie stał się po prostu naszym językiem. Nie był to jakiś żargon ogólnosłowiański, ale właśnie bułgarszczyzna zdolna wyrazić najbardziej nawet zawikłane i skomplikowane myśli i odczucia, tyle że w sposób specyficzny i oryginalny, właściwy tylko jednemu człowiekowi — Machowi.

Jego pobyt w Bułgarii rozpoczynał się zawsze od kilkudniowego, nieprzerwanego krążenia po znajomych w Sofii, których za każdym przyjazdem miał więcej. Potem znikał — „w Bułgarię". Zwiedzał nasz kraj z niebywałym zapałem, unikając jednak utartych szlaków turystów i wczasowiczów zagranicznych. Pozostawiał za sobą ludzi trochę zaskoczonych otwartością jego serca, serdecznym wścibstwem. Peszył ludzi swym zachwytem dla rzeczy, które im zdały się zwyczajną codziennością. Umiał zarazić otoczenie zdolnością wyszukiwania najpiękniejszej strony w każdej rzeczy. Pod koniec pobytu wracał znów do Sofii, trochę wypoczywał, a potem zaczynały się nieskończone pożegnania...

Jestem człowiekiem, który w epoce podróży i ruchu ludności może uchodzić raczej za zasiedziałego. W ostatnich dwudziestu latach bardzo rzadko żegnałem swoje rodzinne miasto — Sofię. Toteż i z Machem podróżowałem nadzwyczaj rzadko. Mimo tego byłem właściwie ciągle z nim — za sprawą krótkich karteczek i obszerniejszych listów, jakie stale mi przysyłał; potrafił przekazać bardzo wiele ze swych wrażeń i refleksji.

Znaliśmy go przedtem jako człowieka z „Jaworowego domu", człowieka z „Życia małego i dużego", poznaliśmy też narodziny jego wielkiej miłości do naszego kraju. Domyślaliśmy się, że gdy pisał „Góry nad Czarnym Morzem", Bułgaria stała się dlań losem zrozumiałym. Podziwialiśmy jego żywiołową, emocjonalną naturę i uroczą fantazję. Ale czy mogliśmy podejrzewać w nim człowieka innego, który jednoczył w sobie sprzeczności?

... Ty mnie nie znasz — napisał do mnie 23 lipca 1962 r. z Burgas — *nie znasz moich niespokojnych, zawsze trwożnych myśli. One zawsze wahają się, zagubione wśród niebywałej ilości argumentów, różnych „pro" i „kontra". Ale może dla Ciebie najważniejsze byłoby wiedzieć jedno — że w tym mieście, w tym domu, znalazłem swoją rodzinę, bliską mi atmosferę. Tu spokojnie mogę poznawać i obserwować życie Bułgarów... Bo ja szczerze chcę ich życie poznać...*

Jego poszukiwanie siebie i innych realizowało się więc w miłości do Bułgarii i jej ludzi. Potrafił przywiązywać się do każdego, każdemu dać po trochu ze skarbca swych uczuć. Pamiętał wszystkich i wszystkim potrafił zaświadczyć swój szacunek. Czasem byli to ludzie, których sam ledwo znałem. Kiedyś dołączył w liście pozdrowienia dla czworga dzieci mojego przyjaciela, spędzających wakacje w naszym letnim domku w pobliżu Sofii.

Pisał z Polski:

... Ty sam wiesz, jak ja strasznie chcę już ruszyć do kochanej Sofii, do bliskiej memu sercu Bułgarii!... Ale jeszcze nie czas. Mam teraz bardzo niewiele czasu dla siebie. Niech mi moi przyjaciele wybaczą, że nie do każdego mogę napisać — przyjaciele z „Narodnoj Kultury" (Wydawnictwo — D.D.), wszyscy w Ośrodku Kultury Polskiej: Zosia, Tosia, Marek, Ksenia, a także wszyscy znajomi z Plowidiwu, Górnej Oriachowicy. Przekaż moje pozdrowienia Bladze Dymitrowej, Petyrowi Dynekowowi, Dymitrowi Pantelejewowi, Dorze Gabe, Rodinie Ruż, Dymitrowi Ikonomowowi, Dymitrowi Gunoteowi, Nikołajowi Georgriewowi, Wasylowi, Szekiewowi, Ognianowi Wartołomiewowi, Dykowowi — wszystkim wszystkim. A Ciebie prosiłbym o kilka słów na mój zwykły warszawski adres, bym mógł ustalić dzień wyjazdu do mojej drugiej ojczyzny — Bułgarii. Wasz i Twój Wilek. 27 maja 1962 r. Obory.

Tak mówił — „moja druga ojczyzna". Było to może patetyczne, ale odpowiadało prawdzie. Kraj, który w całości stał się modnym kurortem, ma wielu zwolenników. Trudno mi wszak osądzić, dlaczego nabrał tak wielkiego sensu dla mego przyjaciela. Z pewnością nie chodziło tu o turystyczne rozmiłowanie w pięknych krajobrazach i łagodnym klimacie sprzyjającym wypoczynkowi. Przypuszczam, że Mach czegoś ważnego w Bułgarii poszukiwał, może nie zawsze dokładnie wiedział o co mu szło, ale sądzę, iż głęboko wierzył, że to, czego intuicyjnie szuka, znajduje się właśnie tutaj.

Mach widział niejeden kraj. Był taki, jak każdy z nas — szukał nowych prawd, nowych przeżyć i odczuć, bo chciał wiedzieć w s z y s t k o o sobie i innych. Szukał urozmaicenia, chciał sprawdzać siebie w nowych sytuacjach. Lecz z tych penetracji prawie zawsze wracał zmęczony i z nadzieją chwytał to, co już uznał za swój los —. Bułgarię.

W pierwszych listach ze Stanów Zjednoczonych pisał jak człowiek, który stanął przed nadzieją zaspokojenia swojej ciekawości życia i ludzi. Zachwycał się tempem i rozmachem wielkiego kraju. Ale wkrótce poczęło z tego przebijać zmęczenie:

... Jestem już zmęczony klimatem, ludźmi oraz chęcią Broni (siostra Macha — D.D.), by mnie przyjąć należycie. Siostra i Józek (jej mąż — D.D.) są bardzo dla mnie mili i uprzejmi. Robią wszystko, bym czuł się tutaj dobrze. Program bardzo urozmaicony, weekendy w lasach, nad jeziorami, wyjazdy do Chicago, Michigan, Nowego Yorku, nad Niagarę. Chodzę po muzeach, uczę się angielskiego itp. Chciałbym jednak już stąd uciec, wrócić do swojego cichego mieszkania w Warszawie, a potem do Was, Moi Drodzy...

Pisał i tak ze Stanów:

...Mnie już tu wszystko obrzydło. Wszystko mi ciąży. Jestem jakby zakuty w łańcuchach. Chcę wyruszyć jak najprędzej do kochanej Sofii, do kochanej Bułgarii.

W 1964 r. przyjechał do Bułgarii bardzo zmęczony. Był to niby ten sam człowiek, ale chwilami zdawało się, że spogląda na siebie jak na kogoś obcego. Pisał do mnie:

Dymitr Drogi, jestem naprawdę wdzięczny za troskę, czuję się już spokojniejszy — nie tracę nerwów. Jak się czuję? — pytasz... Przyjechałem 28 sierpnia do Plowdiwu. O 17.00 pojechałem do Nareczen. Stryjkowski został obejrzeć miasto, potem pojedzie dalej — do Bałcziku... W Nareczen przyjęli mnie bardzo serdecznie. Wszyscy tu są mili i uprzejmi, tak że obiektywnie czuję się dobrze, bardzo dobrze, zadowolony i spokojny — powtarzam. Po obiedzie mam dużo wolnego czasu, wtedy wybieram się na długie spacery, codziennie szukam nowych miejsc, nowych stron, których nie znam i gdzie mogę być daleko od ludzkich oczu. Zrywam polne kwiaty, których teraz, jesienią, w górach coraz mniej. Myślę o różnych rzeczach, o przeszłości, ludziach, o sobie, o pięknie w życiu, o tajemnicy życia, wiecznej i niezmiennej tajemnicy — niezależnie od wszelkich sloganów. Myślę wreszcie, że piękno w życiu i sztuce bardziej mnie zaczyna męczyć niż cieszyć. Istnieje stały mrok w moim sercu, tajemnica — wieczna i niezależna od, ogólnie biorąc, mojego „wesołego charakteru". Jestem samotny wśród ludzi... A Ty pytasz się, jak się czuję? Kiedy noc zawiśnie za oknami i nie mogę już odczytać, gdzie są szczyty gór, gdzie jest niebo, wówczas wszystko jest obce, dalekie, wszystko jest mrokiem... Ale ja trwam z nadzieją, że znów nastąpi poranek i życie znowu ruszy normalnym torem, będzie zwyczajnie, racjonalnie, logicznie i rozmaicie dla różnych ludzi, inaczej niż dla mnie samego wieczorem, gdy niebo znów się zniży, zadzwoni ciemny śmiech nocy... Ale ty się nie troszcz o mnie, Drogi, Miły, ja się czuję dobrze. Ucałowania, jeszcze raz dziękuję za wszystko. Twój Wilek.

Nie była to tylko samotność. Kiedy dawniej spotkałem Macha, jeszcze przed jego wyjazdem na leczenie do Nareczen, wydawało mi się, że widzę człowieka walczącego, broniącego się przed czymś, co bardzo głęboko w sobie pogrzebał, a co nagle się w nim obudziło. Może dlatego, rozmawiając z nim, czasami czułem się jak wobec kogoś, kto przybył z dalekiego i nie znanego mi świata, gdzie ludzie inaczej myślą i czują.

Bo i chyba od początku Bułgarię widział inaczej niż my. Dziwne, ale właśnie my, Bułgarzy, najmniej chyba zrozumieliśmy z „Gór nad Czarnym Morzem". Jest to zresztą jedyna książka spośród tych, które ukazały się za jego życia, nie przetłumaczona na bułgarski. Wiem w każdym razie, że traktował ją bardzo serio, stanowiła chyba jego ostateczny osąd świata, osąd, na jaki stać niewielu artystów.

Pisał w 1960 r.:

Pracuję bardzo intensywnie, nie wiem, czym się to skończy, bo to naprawdę trudna powieść. Powieść-esej, gdzie bohaterowie uciekają mi bardzo często... Gonię za nimi... W Polsce zabiorę się do ostatecznej redakcji. Tu są góry i wiatry, rzeka Czaja. Wszystko jest utkane pięknem, a ja pracuję, pracuję... Ziarna różańca przeciekają przez palce... Bardzo mi jest smutno, że już wkrótce pozostanę bez Bułgarii... I myślę, Mój Drogi, że nie ma w życiu takiego szczęścia, za które nie trzeba by zapłacić, nie ma szczęścia bez niepokoju, bez męczarni i nostalgii. Przy tym ja już zupełnie pogodziłem się ze swoim „smutnym szczęściem". Przebacz, że list swój kończę narzekaniem, ale ty najlepiej mnie rozumiesz...

W listopadzie 1960 r. dostałem od niego list z Warszawy:

Przyjechałem. Przygotowałem dwa artykuły do radia o mojej drugiej Ojczyźnie — Bułgarii. Teraz czuję wielką tęsknotę za Sofią, za przyjaciółmi z „Narodnoj Kultury" i Ośrodka Kultury Polskiej, za wszystkimi. Nostalgia i wdzięczność, głęboka radość i głęboka męka. Wiele mieszanych uczuć... Teraz tylko chcę pozostać sam na sam ze sobą w Helenowie i skończyć wreszcie swoją powieść o Bułgarii. Ostateczna redakcja. Na tej książce straszne mi zależy. Dlatego wyjechałem do Helenowa, chcę być sam. Wszystko już w moim sercu dojrzało. Powtarzam: bardzo mi na tej książce zależy. W wolnych chwilach będę powracał do Was, do drogiej Bułgarii... I myślę, Dymitr, Bracie Mój, że będę z tą książką szczęśliwy... Jestem szczęśliwy i nieszczęśliwy, bo jestem takim samotnym człowiekiem, który posiada jedynie obowiązki...

Bał się tej książki, troskał się o jej los, chyba była dlań czymś więcej niż zwykłe przeżycie pisarza. Ciągle o niej pamiętał. Z Detroit pisał do mnie na odwrocie widokówki (1961 r.):

Stale myślę o wydaniu mojej książki. Zapewne drukarnia już ukończyła druk. Prosiłem, by ją Tobie wysłano od razu po ukończeniu. Ta książka pokazuje inną stronę moich możliwości i mojego życia. Niektórym nie będę się „podobał".

Walka jaką stoczył sam ze sobą, zmęczyła go. Może dlatego tak szybko zabrał się — jak sam to nazwał — do „popularnej powieści" pt. „Agnieszka córka Kolumba". 12 grudnia 1962 r. pisał:

... Po Nowym Roku wyjadę do Helenowa, zaczynam pracować nad nową powieścią, jeszcze nie ustaliłem tytułu... Będzie to mała, popularna powieść. A potem zabieram się do innej n o w e j powieści o Bułgarii, tej powieści, która ne daje mi spokoju od paru miesięcy; czekam na razie na sygnał serca i głowy — GOTOWE. Te oczekiwania przeżywam bardzo ciężko...

Może więc z początku traktował pracę nad „Agnieszką" trochę pobłażliwie — jako zapełnienie chwil „oczekiwania"? Lecz wkrótce okazało się, że ten powrót do czytelnika, któremu obce są wszelkie spekulacje myślowe, który kocha „dobrych" a nienawidzi „złych" bohaterów, powrót do takiego czytelnika był dla Macha czymś nadzwyczaj ważnym. „Mała, popularna powieść" stała się dla jej autora odzyskaniem poczucia obecności pośród ludzi. Tuż po książkowym wydaniu „Agnieszki" Mach pisał do mnie:

Nareszcie „Agnieszka" jest gotowa. Ty wiesz, ile bezsennych nocy mnie kosztowała. Wiesz, ile miłości trzeba było jej poświęcić, by mogła ujrzeć światło dzienne. Wiele rzeczy o mojej bohaterce Ty już znasz. Ale Agnieszka we własnej osobie przyjdzie do Ciebie w wydawnictwie. Tu reakcja czytelników jest bardzo dobra. Jak się wypowie krytyka, nie wiem i nie interesuje mnie to...

Ostatni list, jaki otrzymałem od swojego przyjaciela, pamiętam w całości i mogę go zawsze cytować z pamięci:

Drogi Dymitrze! Wybacz mi długie milczenie. Milczenie to w niczym nie wiąże się z naszą przyjaźnią. Dziękuję Ci za Twój ostatni wspaniałomyślny list. Nie mam sił tłumaczyć Ci mojego stanu psychicznego... On jest po prostu zły, bardzo zły... Dosięgnął dna. Ale koniec z tym! Nie powinienem się skarżyć... I tylko tyle na dziś — wybacz! Jeżeli potrafisz, zrozum, że są takie chwile, kiedy trzeba „tylko żyć" (w dosłownym sensie), choć jest to o wiele bardziej męczące niż pracować. W tym roku nie będę miał wakacji... I w ogóle nie wiem, czy będę mógł być w Bułgarii! Helenów 21 VI 1965 r.

List ten był dla mnie wielkim zaskoczeniem. Mach do niedawna układał plany swego pobytu w Bułgarii, wszystko było umówione. I nagle taka zmiana... Ale kiedy 1 lipca zamówiłem rozmowę telefoniczną, Machowi znowu powrócił entuzjazm, jakby w ogóle tego listu nie pisał... Nie minęła nawet doba, kiedyśmy go wszyscy stracili na zawsze.

Nie wiem, czy Mach, którego znałem, zainteresuje polskich czytelników. Był on dla mnie naprawdę bardzo bliskim człowiekiem, był może moją najbardziej istotną więzią z polską kulturą. Nie wiem też, czy znałem prawdziwego Macha, czy tylko jedno z jego wielu wcieleń, mnie, Bułgarowi, najbliższe. Człowiek od człowieka jest bardzo daleko, choć wydaje się, że tylko sięgnąć ręką... Nie zawsze jednak te odległości wyznaczone są granicami geograficznymi. Toteż może w naszych kontaktach udało mi się przekroczyć jakąś inną granicę. W każdym razie Mach nauczył mnie nie tylko kochać Polskę, ale również pomógł zrozumieć, że nad żadnym krajem nie świeci takie słońce, jakie świeci nad moim. I jeszcze że losem staje się wszelka rzecz, którą nasze uczucia w y b i o r ą.

Dymitr Dobrew

Nałęczów w oczach Bolesława Prusa

W roku ubiegłym Państwowy Instytut Wydawniczy zakończył monumentalną dwudziestotomową edycję „Kronik" Bolesława Prusa w opracowaniu Z. Szweykowskiego. Są one niezwykle bogatym i wszechstronnym obrazem tamtych czasów, utrwalił Prus w kronikach życie i potrzeby społeczeństwa, jego zainteresowania i nastroje, stanowiły one „obserwatorium faktów społecznych". Szczególnie dużo miejsca poświęcił w nich pisarz Warszawie, jej ludziom, instytucjom i sprawom.

Ale Bolesław Prus był nie tylko kronikarzem Warszawy: na skalę inną był także — dzięki kilkunastu kronikom i korespondencjom — kronikarzem dawnego Nałęczowa, miejscowości ulubionej przez autora „Placówki", gdzie w latach 1882—1910 niemal co roku przebywał na kuracji lub wypoczynku oraz gdzie powstało wiele stronic jego powieści i kronik. Korespondencje Prusa z Nałęczowa staną się wkrótce przedmiotem osobnej publikacji Wydawnictwa Lubelskiego, zatytułowanej właśnie „Kroniki nałęczowskie", w opracowaniu i ze wstępem Tadeusza Kłaka. Bogatą szatę graficzną stanowić będą stare fotografie, sztychy i ilustracje.

Przedstawiamy obok ciekawsze fragmenty wypowiedzi Prusa o Nałęczowie z czasów, kiedy był on nie tylko modnym uzdrowiskiem i miejscowością kuracyjną, ale także „kolonią literacką" i „letnim salonem literackim Warszawy".

Tytuły fragmentów pochodzą od redakcji.

Na kurację!

PRZED tymi, którzy jadą na wakacje, stają (...) pytania: gdzie jechać? w jaki sposób odbyć podróże?

Ponieważ, o czym doniosły pisma, dziś nawet wiejskie baby wybierają się do wód zagranicznych, rzecz zatem naturalna, że ludzie szyku dla niezmieszania się z pospólstwem mają tylko dwa wyjścia: albo jechać na księżyc, albo — do zakładów kuracyjnych krajowych.

Jednym z takich miejsc, na które ośmieliłbym się zwrócić uwagę chorych i osłabionych turystów, jest Nałęczów, położony w guberni lubelskiej. Podróż łatwa, miejscowość piękna i kuracja dobra, o czym coś wiem, bo sam jej dużo zawdzięczam.

Istnieje u nas wyobrażenie, że rozum, zdrowie i zabawę kupić można tylko za marki albo guldeny, nigdy za ruble. Jest to przesąd. Na kupno rozumu nie zdadzą się nawet dolary i funty szterlingi, zdrowie zaś, odpoczynek i zabawę tak dobrze można nabyć w Nowym Mieście i Nałęczowie, jak Kaltenleutgeben albo Gerbersdorfie.

Mianowicie, w takim Nałęczowie widywałem ludzi chorych na płuca, żołądek, nerwy, tak — że o własnych siłach chodzić nie mogli. No i mimo to tamtejszy kumys, hydroterapia i powietrze stawiały ich na nogi jeżeli nie w pierwszym, to w drugim roku; naturalnie, gdy choroba nie weszła w fazę nieuleczalną, na którą pomaga tylko jeden gatunek wody — styksowa...

A jak się tam bawią, jak panny wychodzą za mąż, tego by na wołowej skórze nie spisał! Nałęczowska bowiem kuracja to ma do siebie, że usuwa oschłość serca i bardzo życzliwie usposabia dla płci pięknej nawet starych kawalerów.

„Kurier Warszawski" 1885, nr 155

Nie mam dosyć

CHYBA już piętnaste wakacje przepędzam w Nałęczowie i jeszcze nie mam go dosyć, czego nie mógłbym powiedzieć o innych letnich miejscowościach.

A przecież nie mniej od reszty miłośników natury podziwiałem Giewont nad Zakopanem; z domu „Pod Mickiewiczem" w Szczawnicy lubowałem się widokiem Trzech Koron; pod Raperswilem jeździłem na rowerze przez pachnące szwajcarskie łąki: nareszcie — w Wiśle oddychałem niezrównanej czystości powietrzem i zachwycałem się tamtejszymi jak marzenie pięknymi krajobrazami.

Każda z tych miejscowości była prześliczna, nieporównana, godna najwyższych pochwał, lecz z każdej z wielką ochotą wracałem do Nałęczowa.

Gdybym tylko ja sam ulegał pociągowi do tego lubelskiego zakątka, można by mój gust zaliczyć na karb dziwactwa. Ale podobnych amatorów bywało i jest więcej. Artysta Andriolilli mieszkał tu kilkoma powrotami, zanim obrał sobie Nałęczów na miejsce wiecznego spoczynku. Istnieje cały szereg willi zbudowanych przez osoby, które, przyjechawszy tu na kurację czy odpoczynek, osiedliły się następnie na dobre. Raciborski z Warszawy posiadał w Nałęczowie dom i ładny ogród, który sprzedał. Lecz niebawem porwała go taka tęsknota do Nałęczowa, że powrócił, kupił nowy kawałek gruntu, zbudował nowy dom i teraz zaprowadza nowy ogród. Panna Zaleska z Ukrainy przyjeżdża tu co rok na zimę, państwo zaś Henrykostwo Marceniowie, przepędziwszy wielki sezon nad Renem lub w Ostendzie, po tamtejszych cudownościach wracają na odpoczynek do Nałęczowa, a cała ich rodzina jednym głosem zapewnia, że — dopiero tutaj jest im dobrze na świecie!

Nie przesadzę, gdy powiem, że wykrzykniki podobne powtarza większość nałęczowskich kuracjuszów.

Skąd to pochodzi? Przede wszystkim z ogólnych warunków tutejszego pobytu. Każdy pacjent znajduje tu: troskliwą opiekę lekarską, dobrze prowadzone kąpiele wszelkiego rodzaju, niezwykle czyste powietrze, wyborną wodę do picia, wygodne pokoje, wcale przyzwoitą kuchnię zakładową, nareszcie — czytelnię, gazety, a w sezonie letnim muzykę i rozmaite rozrywki.

Do tych ogólnych warunków przybywają specjalne. Połowę, a może i większą część tutejszych pacjentów stanowią ludzie wyczerpani nerwowo. Tacy zaś potrzebują natury, dużo natury, ładnej, a zarazem i łagodnej, tej, która zdaje się pieścić człowieka, a bynajmniej nie przytłacza go potęgą i nie skazuje na bohaterskie, ale męczące wysiłki.

Otóż natura stanowi bodaj czy nie największy wdzięk Nałęczowa, a odznacza się niezwykłą rozmaitością. Lubisz do chodzenia drogi równe i gładkie — masz drogi równe i gładkie; lubisz drzewa — masz drzewa, stare i młode, najrozmaitszych gatunków. Gdy twej poetycznej naturze nie wystarcza park — możesz pójść do lasu albo w pole, albo na łąkę. A jeżeli masz ochotę do wycieczek górskich, znajdziesz tu i góry rozmaitej postaci tudzież na parę wiorst długie wąwozy.

Jeżeli wreszcie tęsknisz do wody, masz i wodę bądź w fromie stawu, po którym można pływać łódkami, bądź w formie rzeczki, która wężowym ruchem przemyka się przez łąkę między grabami i wierzbami.

Tutejsza rozmaitość widoków ma dla ludzi zdenerwowanych tę zaletę, że łączy się z małymi rozmiarami. Do lasu, do wąwozów, do Góry Krzyżowej albo Poniatowskiego idzie się co najwyżej — kwadrans. Góry zaś i przepaście tutejsze, jakkolwiek i one nastręczają pole młodym panom do okazywania zręczności wobec młodych dam, są przecież tak łagodne i niewysokie, że na każdą można wejść w parę minut.

Dodajmy, że w tutejszym lesie jeszcze nikt nie zabłądził, w wodzie nikt nie utonął, na wycieczkach nikt karku nie skręcił, a pojmiemy, z jakiej racji Nałęczów może być bardzo miłym dla zdrowych, a nieocenionym dla wszelkiego rodzaju nerwowców. Bo i spokój nawet w najruchliwszych tygodniach sezonu łatwo znaleźć tu można chociażby o kilka minut za Zakładem.

Kiedy obecnie, po roku niebytności, przyjechałem do Nałęczowa, znalazłem już zmiany. Przede wszystkim nie zastałem wieloletniego dyrektora, świętej pamięci Konrada Chmielewskiego. Było to człowiek, który żył sercem i umarł na serce, doznawszy od świata wielu pociech idealnych i dużo goryczy realnych. Umierał jak bohater, najwięcej troszcząc się o to, że jego choroba przysparza zajęcia i tak zajętym kolegom lekarzom, a śmierć — może zaniepokoić pacjentów.

Chmielewski oddał dużo usług zakładowi i serdeczne zostawił po sobie wspomnienie. Jego następcą jest doktor Puławski, dobry lekarz i dobry człowiek.

Tyle co do zmian osobistych. Na zewnątrz zakładu powstało kilka nowych willi; wzdłuż i w poprzek gościńców porobiono chodniki i przejścia dla pieszych, a w najładniejszych miejscowościach spacerowych, jakimi są Góra Krzyżowa i wąwozy, wykopano parę wiorst ścieżek.

Wewnątrz Zakładu także zaprowadzono kilka ważnych ulepszeń. W młodym lasku, na Górze Armatniej, urządzono nowe drogi; hotel z hydropatią połączono za pomocą ogrzewanych korytarzy, zaś salę jadalną z kuchnią zamiast dawnego, odkrytego i niebezpieczonego mostku łączy dziś kryty balkon, co jest wygodniejsze dla służby, smaczniejsze dla potraw.

Najważniejsza jednak reforma dotyczy zaprowadzenia pieców w pokojach budynku hydropatycznego, dzięki czemu — Zakład posiada dzisiaj ze czterdzieści numerów zimowych, w których ewentualni kuracjusze będą mogli zamieszkać. (...)

„Kurier Codzienny", 1900, nr 277

Osobliwości

PODRÓŻ z Warszawy do Nałęczowa jest urozmaicona. Z dworca Nadwiślańskiego wyjeżdża się o godzinie 3 min. 23 po południu, pociągiem, którego wagony II i III klasy stale bywają przepełnione, a I-szej klasy prawie puste. Gdzieś za Otwockiem, w ciasnym korytarzyku, zjawia się młodzieniec z tacą pełną szklanek herbaty i butersznitów; niezadługo później, o wpół do 7-ej pociąg zatrzymuje się w Iwangrodzie, kędy, w ciągu kwadransa, można również napić się herbaty i zjeść (kto ma silne zęby) porcję rostbefu.

Potem już nic nie je się i nic nie pije, aż do stacji Nałęczów, gdzie wylądowujemy o godzinie 8 minucie 19, w pięć godzin po opuszczeniu Warszawy. [...]

Całość, oznaczona wyrazem: Nałęczów, składa się z kilku części: 1) właściwego Zakładu, 2) willi prywatnych, które stanowią jego najbliższe sąsiedztwo, 3) wąwozów, górek, lasków itp., które tworzą dalsze sąsiedztwo.

Właściwy Zakład mieści się w parku, mającym około 30 morgów rozległości. Park leży w dolinie, zasłonionej od północy „Górą Armatnią", ma formę od biedy nieregularnego czworoboku, a odróżnić w nim można dosyć wyraźne części. Park stary, który zajmuje środek, stronę wschodnią i południową czworoboku; tu mieści się większa część budowli i sadzawka i znajdują się dwie piękne aleje: lipowa i kasztanowa. Park górny zajmuje stronę północną, rozciąga się na zboczu Góry Armatniej, a cechuje się przewagą młodych sosen, które przy ciepłym dniu mile pachną. Nareszcie park nowy, założony przez obecnego administratora, p. Stanisława Thilego, mieści się przy zachodnim brzegu; charakteryzuje go przewaga świerków.

Pałac, gdzie znajduje się kilkanaście mieszkań i prywatna, bardzo dobra restauracja, a dalej: mieszkanie dyrektora dra Puławskiego i nowa oficyna, leżą w parku starym. Pałacyk angielski czyli willa zakładowa, tudzież poczta z telegrafem mieszczą się u stóp parku górnego, a Łazienki mineralne — na przeciw parku nowego. Budująca się w tej chwili „Leżalnia", czyli weranda dla chorych, którzy powinni spędzać dni na otwartym powietrzu, mieści się w granicach parku górnego, a budowla, przeznaczona na „kąpiele słoneczne", leży w ogrodzie kwiatowym, na zachód od starego parku. Dodać trzeba, że w tej chwili wykańcza się kanalizację Zakładu, czyli budynku obejmującego największą liczbę mieszkań.

Nałęczów posiada kilka godnych uwagi osobliwości, których na próżno szukalibyśmy w innych „wodach" krajowych. I tak. Muzeum etnograficzne — mieści się w pałacu, a może będzie posiadało budynek własny. Towarzystwo oszczędnościowo - pożyczkowe umieściło się przy aptece, która leży w północno-wschodnim kącie parku. W Zakładzie znajduje się obserwatorium meteorologiczne i pracownia biologiczno-chemiczna.

Tanie kąpiele dla ludu są zbudowane za parkiem, w zachodnio-południowej stronie; ambulatorium dla chorych przychodzących zbudowano przy bramie zachodniej, a szkoła slojdu i koszykarstwa leży między wąwozami Lasockiego i Jasińskiego, na północ od parku.

Wreszcie — sala balowa, a zarazem koncertowa, czytelnia pism, i biblioteka znajdują się w Pałacu. Od czerwca do września grywa orkiestra w altanie nad sadzawką.

W ogóle park nałęczowski jest bardzo ładny. Posiada mnóstwo drzew starych liściastych i iglastych, mnóstwo ozdobnych krzewów, kwietników, trawników, gałków i alei. Masa bzów robi wrażenie ścian, płonących fioletowym ogniem; biało-, czerwono- i żółto kwitnące kasztany przypominają wigilijne choinki, oblepione zapalonymi świecami. Po sadzawce pływają czółna i łabędzie, w źródle i strumieniach szumi woda, w gęstwinach rozlegają się najrozmaitsze głosy ptaków, a gdzieś z daleka słychać szczekanie psów i żabią orkiestrę.

Ktoś powiedział, że Nałęczów jest wilgotny. Bajka. Warszawa jest zanadto sucha, a Nałęczów posiada ten umiarkowany stopień wilgotności, jakiego potrzebują neurastenicy, tudzież dotknięci pewnymi cierpieniami dróg oddechowych. Malarii nigdy tu nie było, trafiały się zaś wypadki leczenia jej form bardzo ciężkich.

„Tygodnik Ilustrowany" 1905, nr 22

Dobry grunt

ABY odwrócić uwagę czytelnika od kwestii politycznych, od rozmaitego rodzaju hakatyzmów, od wyborów, stronnictw i partyjnych nienawiści, powiem o jednym zakątku, który jest niby miniaturą naszego społeczeństwa i jego porozbiorowych dziejów. Mam na myśli Nałęczów, miejscowość, jak wiadomo leczniczą i wakacyjną.

Nałęczów nie należy do wielkich wód; leczy się w nim około 800, zwiedza go około 2000 osób rocznie. U tej jednak małej wody spędzali lato: Deotyma, Odyniec, Sienkiewicz, Paderewski, Faleński, Karłowicz, Gliński, Radliński, Andriolli, Szwojnicki, Or-Ot, Matuszewski, Popławski... Barcewicz i Michałowski przyjeżdżali tu z koncertami, skrzypek Adamowski w odwiedziny do pp. Marconich, b. poseł Dmowski w odwiedziny do Popławskiego. Daniłowski przepędził tu parę lat, a Żeromski nawet osiedlił się... Ordynującymi lekarzami byli: Bauerertz, Sokołowski, Tomaszewicz-Dobrska, Fabijan, Nusbaum, Hewelke, Radziwiłłowicz, Chełchowski, Rembieliński, Męczkowski, Kozłowski, Meyer, Zagórski, Dobrucki; zwiedzali zaś Nałęczów doktorzy: Ciszkiewiczowa, Baranowski, Dobrski, Gajkiewicz, Jakowski z Warszawy, Talko, Janiszewski, Jaworowski z Lublina. Jeżeli kogo opuściłem, niech mi będzie wybaczone; mogę zapewnić, że każde nazwisko wypisałbym, jeżeli nie złotymi, to przynajmniej złoconymi literami.

[...] historia Nałęczowa przedstawia jeden ciąg ulepszeń i postępów, może drobnych i niehałaśliwych, ale wszechstronnych i rzetelnych. Co pochodzi stąd — podkreślam zdanie, — że szlachetne ziarno uczuć obywatelskich padło na dobry grunt i że pierwotna organizacja, złożona z ludzi ukształconych, energicznych i wysoce uczciwych, zwabiła, przyciągnęła do siebie tylko dobre żywioły. W Nałęczowie mogą być zatargi, mogą być osobiste niechęci; nigdy jednak nie było miejsca na szwindelki, a choćby tylko na egoistyczne roboty.

Powiedziałem: d o b r y grunt. Przede wszystkim jako miejscowość lecznicza Nałęczów ma doskonałe powietrze, a wodę żelazistą taką, jak w Spaa i w Reinerz. Po wtóre — jest to miejscowość bardzo ładna.

Gdybyśmy z pałacu, promieniem dwuwiorstowym (granica zwykłych spacerów) zakreślili koło, to w obrębie tym prawie nie ma równiny, tylko dolinki i wzgórza, porośnięte bogatą i bardzo urozmaiconą roślinnością.

Widoki są prześliczne. Las na wzgórzu, łąka, przecięta wijącą się rzeczułką, pola różnych kolorów, między drzewami chata jak perła, wille otoczone ogrodami, aleje starych lip, wąwozy zadrzewione lub urwiste, wzgórze podobne do wygasłego wulkanu, z którego wyrósł kopiec, ozdobiony kilkoma drzewami i krzyżem... Bez przesady można powiedzieć, że w Nałęczowie prawie nie ma punktu, z którego nie ukazywałby się krajobraz ładny, a czasem — niepospolicie piękny. Na nieszczęście nasi malarze jeszcze nie dowiedzieli się o tym...

Powabom natury dotrzymuje kroku ludzka praca. Przede wszystkim w Zakładzie Nowicki zbudował łazienki żelaziste, Al. Sokołowski urządził doskonałą hydropatię. Doliński odkrył borowinę i zaprowadził kąpiele borowinowe. Inspektorka mieszkań, p. Żółtowska, znakomicie rozwiązuje kwestię lokalów i stosunków z pacjentami, którzy niekiedy bywają bardzo nerwowi... Chmielewski, obok wielu ulepszeń, stworzył kuchnię zakładową, a w sztuce postępowania z gośćmi, nawet z władzami, dosięgnął szczytu. Prezes rady zarządzającej Lasocki i administrator Rodkiewicz wydobyli zakład z ciężkich kłopotów finansowych; obecny dyrektor Puławski wprowadził: kąpiele gazowe, kąpiele słoneczne, leżalnię i kanalizację zakładu, a nareszcie dzisiejszy administrator — p. Thiele, niegdyś dyrektor fabryki majolików w Nieborowie, pobudował bramy w parku, urządził chodniki betonowe, a naprzeciw łazienek — nowy park z drzew iglastych. Siedząc, człowiek ma wrażenie Krynicy lub Szczawnicy.

Jest doprawdy rzeczą godną uwagi: ilu ludzi pozostawiło w Nałęczowie ślady użytecznej działalności, w najrozmaitszych dziedzinach życia społecznego. Na przykład: Chmielewski dla okolicznego ludu zainicjował ambulatorium, które do najwyższej popularności doprowadził dr Przemysław Rudzki, dr Gliński i miejscowy felczer p. Banaszkiewicz. Dyrektor Puławski dał początek kąpielom ludowym, instytucji tak niezbędnej, a na wstyd nasz, tak mało upowszechnionej w kraju. [...]

Z dziedziny sztuki: dr Malewski i p. inżynierowa Nagórska dali początek teatrowi ludowemu. Występuje w nim służba miejscowa i rzemieślnicy, a grają np. sztukę „Harde dusze" tak, że warto by na parę przedstawień zwabić ich do Warszawy. Była też i orkiestra z miejscowych chłopców, ale nie utrzymała się... O koncertach przyjezdnych artystów, o teatrach, o orkiestrze sezonowej, jako rzeczach zwykłych „u wód", nie wspominam. Muszę jednak zwrócić uwagę, że w ciągu lata przebywa tutaj zakład fotograficzny p. Sierocińskiej z Lublina, który wykonywa bardzo dobre portrety i krajobrazy. [...]

Z innych osobliwości nałęczowskich wspominam: wille i ogród pp. Raciborskich, odznaczających się wytwornymi urządzeniami i porządkiem; Muzeum (ubiory ludowe, modele chat, sztuka ludowa, ptaki, owady, wykopaliska), zebrane dzięki staraniom d-ra Malewskiego; stację meteorologiczną, którą doskonale prowadził zmarły dr Sacewicz, autor spisu roślin jawnokwiatowych (około 500) gatunków, zebranych w okolicach Nałęczowa.

Nad oświatą pracują tu dwa towarzystwa: Macierz szkolna i „Światło". W Macierzy prezesem jest dr Puławski, skarbnikiem dr Gliński, sekretarzem aptekarz Konieczny; w „Świetle" prezesem p. Górska, sekretarzem p. Morzycka, skarbnikiem p. Sulkowska. Niektórzy ubolewają nad takim „rozdziałem" sił... Ja sądzę, że w naszych czasach, im więcej stowarzyszeń, tym praca pewniejsza.

Oba Towarzystwa uzupełniają się: Macierz założyła szkołę elementarną pod kierunkiem dwu bardzo dobrych nauczycielek, których nazwisk, niestety, zapomniałem; „Światło" ma dwuklasową szkołę pełnej zasług p. Morzyckiej. Jest i ochrona, którą przez pierwszy rok prowadziła doktorowa Rudzka.

Pospieszam dodać, że oba Towarzystwa: Macierz i „Światło", współzawodniczą ze sobą. Jeżeli np. Macierz ogłosi zabawę na dochód szkoły, natychmiast „Światło" urządzi wyborne odczyty Matuszewskiego na ochronkę. Jeżeli Macierz przystąpi do wzniesienia Domu ludowego, zaraz „Światło" na złość buduje prześliczną ochronkę, której plan zrobił młody, niepospolitych zdolności budowniczy, p. Jan Witkiewicz, a niemało pracy, dozoru i pieniędzy włożył w nią p. Stefan Żeromski.

Moi panowie z Macierzy i ze „Światła" kłóćcież się tak, choćby do końca świata! [...]

„Tygodnik Ilustrowany" 1907, nr 43

Nałęczów. Pijalnia wód. Zdjęcie współczesne

Fot. J. Urban

Trwanie słowa

Jacek Wegner

„*PIERWSZA świetność (...) jawi się jako rozsypanka zdarzeń, uczuć i myśli (...) fakty pozostają niedookreślone, tzn. zostają zanotowane, ale nie mają żadnych dalszych fabularnych konsekwencji.* Słowa te napisał Jan Błoński, recenzując przed laty wydaną książkę Leopolda Buczkowskiego („Życie Literackie" 1967, 15 X). W stwierdzeniu tym kryje się dość jednoznaczna ocena: utworu tego, w którym „rozsypanka" zdarzeń stanowi dopiero materiał fabularny, nie zaś epicko uporządkowaną fabułę — krytyk nie ocenił pozytywnie.

A zawiódłby się czytelnik oczekujący od Buczkowskiego w ostatnich trzech czy czterech latach powieści o bardziej zwartej kompozycji. Wydaje się, że autor „Czarnego potoku" brnie w przyjętej przez siebie konwencji budowania utworów nie tylko afabularnych, ale wręcz negujących wszelkim zasadom porządku fabularnego. Zaświadcza o tym nowa jego powieść — „Uroda na czasie" (PIW, 1970).

Ta książka jest już doprawdy magmą sytuacji i zdarzeń (nie można powiedzieć: dialektyka sytuacji, albowiem brak jest linii rozwojowej i logicznych, dialektycznych właśnie przemian, które by dążyły do jednego — ostatecznego uogólnienia). Jak pisarz ewokuje tedy owe sytuacje? Trzema sposobami: przez opis, przez dialogi, jeszcze poprzez — by tak rzec — „informacje". Trzecia metoda godna jest szczegółowszego wyjaśnienia, przecież dwie pierwsze stanowią podstawowy arsenał sposobów organizowania narracji w epice (tradycyjnej czy rewolucyjnie nowatorskiej — tak samo), podczas gdy „informacje" wydają się oryginalnym, aczkolwiek nie bardzo do przyjęcia „rozwiązaniem formalnym" samego autora. Któryś z bohaterów książki informuje innego o tym, co widzi, a co jest powszechnie znane, ba — co zazwyczaj jest błahostką. Wygląda na to, jakby jakaś postać informowała inną, która — rzekłbym — nie jest z tego świata; i to, co dla nas, czytelników, jest powszechnie znane, dla niej stanowi dopiero „odkrycie", na przykład: *Sala napełniła się. Patrz, jaki ścisk. Spuszczają pająk (...) orkiestra stroi instrumenty. Wkrótce się rozpocznie. Co za hałas. Jakże tupią nogami. Kto gra pierwszą rolę? Otóż nareszcie i dzwonek, który daje znać orkiestrze, żeby zaczynała.*

Ale zapytajmy: kto rządzi opisami, kto z kim rozmawia, w jakim celu trwają dialogi, roztaczane są opisy? Na próżno o to pytać — jest to bodaj niedocieczona zagadka, jasna jedynie dla samego twórcy. W utworze tym jak w kalejdoskopie przelewają się, bynajmniej nie zazębiając, rozmowy, obrazy, refleksje. Nie sposób dopatrzeć się więzi między nimi, nie sposób zliczyć postaci istniejących w tym nie zamkniętym świecie, nie sposób — co więcej — spośród nich wyłowić narratorów. Utwór pozbawiony jest „kodu" konstrukcyjnego, dzięki któremu można by zrozumieć całą kompozycję. A raczej istnieje taki, tylko że wyłącznie w świadomości autora. Stąd „Uroda na czasie" pozostaje tajemnicą autorską i jako taka jest wyłączną własnością Buczkowskiego. I mimo wydania tej książki w ponad trzytysięcznym nakładzie, utwór nie jest w stanie „zobiektywizować się", wyraziście skonkretyzować się w indywidualnym odczytaniu odbiorcy. Przeczytać można tę książkę, ale nie można bodaj jej odczytać.

Naturalnie, zgadzam się z tymi interpretatorami dotychczasowej twórczości Leopolda Buczkowskiego, którzy twierdzili, iż pisarz ma wiele wspólnego z autorem „Ulissesa". Dodam nadto, że i Buczkowskiego zauroczyło pisarstwo Teodora Parnickiego. Dodam także, iż w wielu wypadkach inspiracje twórcze autora „Wertepów" zbieżne są z impulsami twórczymi, ujawnionymi w prozie przez Witolda Wirpszę. Oto przykład z „Urody na czasie", który przywołuje skojarzenia z „Wagarami" Wirpszy: *Pierwszym zadaniem człowieka było nazwać zjawiska przyrodzone. A jakie zadanie stoi dalej przed nim? Nazywać namiętności, grzechu, cnoty, kwiaty, klęski, wojny, zadania, idee. Na co i odzie istnieje jaka idea, jaki ma kierunek i po jakiej drodze zdąża?*

Buczkowski zjawiska swojej rzeczywistości nazywa, to ponad wszelką wątpliwość. Cóż jednak stąd — owo nazwanie, jak się rzekło, pozostaje wyłącznie jego sprawą, nie fascynuje czytelnika. Nawet najbardziej zniekształcone rzeczywistości autora „Gry znaczeń" są bardziej czytelne niż świat „Urody na czasie". Bo — i tu tkwi chyba sedno dylematu — narracja tego utworu nie jest oparta na jakimkolwiek znanym współczesnemu czytelnikowi kompozycyjnym systemie epickim, powieściowym czy antypowieściowym. „Ulissesa" nie sposób nazwać „rozsypanką" czy magmą sytuacyj, albowiem fabułą tego dzieła rządzi kilka co najmniej rygorów: treści przeżyć wewnętrznych postaci osadzone są w określonej i wymiernej zewnętrzności — przestrzeni i czasie. Dalej — istnieje jak gdyby narrator „główny", który cementuje cały materiał literacki i „przyzwala" na narracje inne. Wreszcie zawiłą nad wyraz problematykę „Ulissesa" rozwikłać można przez parabolę mitologiczną. Również najbardziej nawet skomplikowane fabuły powieściowe autora „Nowej baśni" warunkowane są prawami, które dadzą się nie tylko zrozumieć, ale i opisać, niezależnie od tego, czy komuś światopogląd Parnickiego odpowiada, czy nie. Człowiek historiozoficzny powieści autora „Tylko Beatrycze" musi być odmienny od człowieka, powiedzmy, Joyce'a, ale jest dla czytelnika tworem logicznie wynikającym z przekonań światopoglądowych pisarza. I w dziełach Parnickiego trudno wytyczyć granicę, która by dzieliła bohaterów od narratorów, każdy bowiem bohater stać się może, ma ku temu dostateczne predyspozycje nadane mu przez twórcę, narratorem. Świat Parnickiego — ponad-czasowy i ponad-przestrzenny — ma żelazne rygory logiki i implikowany jest autorska historiozofia. Świat Wirpszy zaś tłumaczony jest przyjętym przez autora założeniem: deformacji ulec może, i w naszej dobie ulec powinno, wszystko.

A rzeczywistość „Urody na czasie"? Jest bezprzestrzenna i bezczasowa, beznarracyjna i bezpostaciowa, bezpodmiotowa i — co gorsze — bezprzedmiotowa. Tam wszyscy lub nikt może być narratorem i bohaterem. Wszelkie różnice zatarły się absolutnie. Zniweczona też została relacja między obrazami, wypowiedziami. Jeden istnieje w utworze quasi-porządek kompozycyjny — trwanie słowa. Ale trwanie słów może być bełkotem, jak i genialną wypowiedzią. To forma, zamknięcia słowa w jakąś kompozycję o tym decyduje. Henryk Bereza z triumfem na skrzydełku obwoluty twierdzi, że *podmiot twórczy postanowił się ukryć i ograniczyć swoją rolę do roli anonimowego „słuchacza z ukrycia", który dysponuje „magnetofonową pamięcią".* Dla mnie wszelako „Uroda na czasie" jest utworem boleśnie kalekim: brak w niej bowiem tego, co jest niezbędne dla istnienia dzieła sztuki — formy. Nie o przejrzystą, tradycyjną formę mi idzie, gotów byłbym tropić ją w umęczeniu umysłu przez stron 500 czy nawet 1 000, gdyby była, niż śledzić trwanie słów na stronach 262...

Oczywiście, czytelnik łatwo się zorientuje, że autor „Urody na czasie" przerażony jest śmiercią, wojną, współczesnym światem, który mknie ku samozniszczeniu. Więcej — uświadomi sobie, że w rzeczywistości tego utworu istnieje obsesja dezercji, równoznacznej chyba ze zdradą (jakich ideałów)? Czytelnika wstrząsnąć nawet mogą niektóre opisy (i zrodzić skojarzenia z Kafką), jak ten na przykład: *Ażeby zaopatrzyć kraj w dostateczną ilość tłuszczów dla celów technicznych, zarządziło generał-gubernatorstwo wojskowe, aby przedsięwziąć odgrzebywanie celem zdobycia tłuszczu i kości. Odgrzebywania te mają być przeprowadzone tylko przez wykopywacza legitymowanego przez centralę materiałów surowcowych generał-gubernatorstwa wojskowego (...) Odgrzebywania będą miały miejsca często w pobliżu dawnych pozycji bojowych (...).* Odbiorcę zafascynować może urocza dwoistość tego dzieła: baśniowość i realistyczność zarazem, czytelnik byłby może skłonny zakreślić niektóre partie i zaznaczyć: „mechanizm powstawania legend". Czytającego już od pierwszych stron zafrapuje swoistość asocjacyj; wszystkie skojarzenia prowadzą do jednego punktu: do świadomości śmierci zadawanej w wojnach. Ile ich było? Powstania, wojna pierwsza i druga światowa. Obok kawalerii i szabel, są czołgi i samoloty. Świat przerażający — świat wojennych pożóg, wojennych mordów. Ale wrażenia czytelnika rozcieńczają się w magmie tych nie powiązanych słów, obrazów, refleksyj, pozostanie zmęczenie, niechęć i irytująca pewność, że rzeczywistość tego dzieła wymyka się wszelkimi formalnym i filozoficznym uogólnieniom.

Rzecz jasna, zdaję sobie sprawę, że moje uwagi o książce Buczkowskiego mogą być, i są niechybnie, wielce kontrowersyjne. Cóż — żadna ze znanych mi krytycznoliterackich prób obrony tego pisarstwa nie zdołała mi wyjaśnić tajemnicy Buczkowskiego. Do zwolenników i chwalców tej twórczości zaliczył się już przed paru laty Jan Pieszczachowicz. Oto co między innymi napisał („Życie Literackie" 1967, 30 IV): *Świat jego* (Buczkowskiego — J.W.) *rządzi się własnymi prawami, własną strukturą i filozofią, systemem wartości i językiem, własną ontologią.* Jakież to te prawa: struktury, filozofii, wartości, języka, ontologii? *Oskarżenie Buczkowskiego jest o tyle oryginalne, że pisarz swoje przekonanie o rozpadzie świata ilustruje formą, daje literacki ekwiwalent rozbicia.* Jakie to powtarzam — prawo, struktury? Rozpad świata równa się rozpadowi artystycznej formy? Unicestwienie literatury, własnego pisarstwa? Jakże ów „rozpad" w formie urokliwej (formie — powtarzam) ewokowali przed Buczkowskim Witkacy i Gombrowicz. Zaraz dalej pisze Pieszczachowicz: *Pogorzelisko złudzeń oddane jest przy pomocy prozy zdezintegrowanej na wielu płaszczyznach.* A więc jedynie „adekwatna" od owego poczucia „pogorzeliska złudzeń" ma być proza „zdezintegrowana", czyli proza-nieproza, proza bez kompozycji, „proza słów"? Co to znaczy, w imię jakich ideałów estetycznych broni pisarstwa Buczkowskiego Pieszczachowicz? *Świat Buczkowskiego jest więc makrokosmosem, który poddano prawom zatomizowanego i względnego mikrokosmosu, w werbalnej formie pastiszu, ale z daleko idącymi konsekwencjami w konstrukcji powieści.* Jeśli takim językiem i takimi ciemnymi myślami, niezrozumiałymi w swojej formie językowej argumentami broni się tej twórczości, to wyrządza się jej niepowetowaną szkodę, i to niezależnie od tego, czy będzie ona przejawem geniuszu, czy tylko zwykłym nieporozumieniem.

Podejrzewam, że Buczkowski-pisarz tak wysoce oryginalne, tak dalece dzisiaj nie spotykane, tak wyjątkowe ma pojmowania świata i sztuki, że stają się one same dla siebie samych wyłącznym odniesieniem i jedyną rzeczywistością, nie szukając sankcji na zewnątrz — wśród czytelników. Gdyby tak było istotnie, to znaczyłoby to, że proza Buczkowskiego skazana jest na zapomnienie dopóty, dopóki nie zaistnieje społeczeństwo, którego świadomość, odbiór świata i sztuki nie stanie się w jakiejś, choćby najmniejszej mierze, analogiczny do autorskiej...

Całe moje omówienie „Urody na czasie" pisane jest najczęściej w trybie przypuszczającym. Podkreślam tym swoją niemożność odczytania tego dzieła. Przyznaję. I jeszcze jedno muszę wyznać. Czytając ten utwór, nie mogłem odeprzeć wątpliwości: a może jest on parodią, najjaskrawszą i najskrajniejszą z dotychczas w naszej literaturze powstałych, współczesnych manier prozatorskich, którym ulegają niektórzy pisarze, obniżając tym poziom współczesnego życia literackiego? Założenie to tak samo słuszne jak i błędne — „Uroda na czasie" dopuszcza bowiem wszelkie egzegezy, umożliwia zajęcie wszelkich stanowisk, pozwala przyjąć wszystkie punkty widzenia, dopuszcza każde założenie komentujące. A tak zachowują się — i to jest największym paradoksem sztuki — albo arcydzieła, albo płody grafomańskie...

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

„Potrzebuję pieniędzy i dlatego chciałbym, abyście opublikowali moje utwory. Bardzo Was proszę, zróbcie mi to, i to jak najprędzej. Wybaczcie, że piszę do Was na kartce z zeszytu i do tego piórem. Niestety, sekretarki z braku funduszy nie mogę obecnie zatrudnić" — pisze pewien autor.

Prośbę jego natychmiast spełniamy, aczkolwiek bezpłatnie:

ZIEMIA

Z mroku wieczności
z chaosu nieistnienia
wstałaś
błyskiem ognia
zakwitłaś w poranku
swego istnienia
chciałaś zrzucić
jarzmo skorupy
wypełznąć ku gwiazdom
wężami lawy
jak rumak niedościgły
pędziłaś w przestrzeni
okryta pianą
oceanów
wieczna
trwasz bez końca
dopóki człowiek nie powie
koniec!

„Ten utwór napisałem na lekcji geografii" — dodaje sympatyczny młodzian, a potem jeszcze:

„P. S. A teraz powiem Wam szczerze, iż nie bardzo w to wierzę, abyście opublikowali te moje wiersze, ponieważ Wy:

Mając oczy opuchłe patrzeniem
Wytężacie wzrok do końca
I dojrzeć chcecie wieczność
Próżno czekacie tej chwili
Nie dostąpicie jej nigdy
Oczy Wasze zbyt przywykły do ciemności
By mogły ujrzeć światło wieczności.

I proszę nie brać tego tak dosłownie, bo to nastąpi nieprędko".

Nie bierzemy tego tak dosłownie, słowo honoru!

Listy do KAMENY

„Rekonesans w lubartowskiej hucie"

W związku z artykułem pt. „Rekonesans" zamieszczonym w numerze 3 z dnia 28 II 1971 r., a w szczególności ze sformułowaniem, które cytujemy: „Wprawdzie w patronackiej hucie w Wołominie stoi podobno bezużytecznie kilka potrzebnych Lubartowowi maszyn, ale tamtejszy zakład zazdrośnie strzeże swego dobytku", uprzejmie wyjaśniamy, co następuje:

Huta Szkła im. F. Papińskiego w Wołominie zarządzeniem Min. Bud. i PMB nr 141 z dn. 11 VII 1966 r. oraz zarządzeniem nr 50 Naczelnego Dyrektora Zjednoczenia Przemysłu Szklarskiego z dnia 15 VII 1966 r. powołana została do sprawowania funkcji przedsiębiorstwa patronackiego w zakresie produkcji termosów. Obowiązki wynikające z patronatu w stosunku do Lubelskich Hut Szkła wykonuje się w miarę uprawnień i posiadanych środków oraz możliwości.

Nie jest nam znana sprawa „kilku potrzebnych Lubartowowi maszyn". Huta Szkła w Lubartowie z podobnymi potrzebami do nas nigdy nie występowała. Nie wiemy też o jakich maszynach w danym przypadku jest mowa. Jeśli Huta Szkła w Lubartowie chciała nabyć jakieś maszyny i urządzenia, to powinna zwrócić się do nas z zapytaniem, czy takie maszyny posiadamy w rezerwie i czy możemy je upłynnić.

Natomiast Huta Szkła w Lubartowie występują poprzez Zjednoczenie Przemysłu Szklarskiego w Sosnowcu do naszego przedsiębiorstwa w sprawie przekazania jednej maszyny próżniowej (do uzyskiwania próżni w wkładach termosowych), ale w tej sprawie wyjaśnialiśmy kompetentnym pracownikom HS w Lubartowie, że posiadane przez nas cztery maszyny próżniowe od listopada — grudnia 1970 r. są niezbędne dla własnych potrzeb, wykorzystane w pełni na trzy zmiany, a nawet produkcja na oddziale termosów odbywa się w niedzielę.

Jednocześnie pragniemy wyjaśnić, że Huta Szkła w Wołominie produkuje wkłady termosowe oraz termosy na eksport w 49 proc. do krajów kapitalistycznych; w produkcji eksportowej wkładów do termosów wymagane są szczególnie wysokie parametry jakościowe. Przekazanie jednej maszyny próżniowej do HS w Lubartowie spowodowałoby niezrozumiałe zamówienia odbiorców zagranicznych i krajowych oraz wpłynęłoby w sposób ujemny na jakość tych wyrobów i niezgrabne wykonanie zadań w stosunku do nadsłanych harmonogramów dostaw.

inż. J. Kaszuwara
Dyrektor

Rywal Paganiniego

POZOSTAWIŁ po sobie miano wielkiego rywala Paganiniego, z którym nie bez sukcesów konkurował podczas pobytu we Włoszech, gdzie przybył w 1817 r. Świetny skrzypek wirtuoz, był równie znakomitym kompozytorem; jego wariacji, fantazji i koncertów skrzypcowych historia nie odesłała do lamusa. Dyrygent orkiestry teatru we Lwowie, koncertmistrz orkiestry operowej w Dreźnie, obdarzony tytułem Pierwszego Skrzypka Cesarza Wszechrosji przy Dworze Królewsko-Polskim, Karol Lipiński urodził się 30 października 1790 r. w Radzyniu Podlaskim, zmarł zaś 16 grudnia 1861 r. w Urłowie.

Rodzinna miejscowość wybitnego artysty przygotowuje się właśnie do obchodów 110 rocznicy jego śmierci. Towarzystwo Muzyczne w Lublinie — Społeczne Ognisko Muzyczne w Radzyniu oraz inne instytucje organizują 8 maja br. koncert uczniów szkół muzycznych, otwarcie wystawy lutniczej, spotkania z krytykami w Radzyniu i Międzyrzecu Podlaskim, a także wmurowanie tablicy pamiątkowej w pałacu radzyńskim.

Obszerniejszy artykuł o postaci i dorobku Karola Lipińskiego przedstawimy w jednym z najbliższych numerów pisma. (K)

Myśli przekorne

Jadwiga Podbielska

Motto: O to mi chodzi, żeby myślenie sprawiało przyjemność. Za resztę nie odpowiadam.

Rodzą się wciąż nowe prawdy, dobre i złe córki starych prawd.

•

Nie wyrządzaj mi tego dobra ze złością!

•

P.: Chcę tak pracować, żeby wprost zabić siebie...
N.: Ty nigdy nie potrafisz być bezinteresowna.

•

Konieczność ma smutny uśmiech.

•

Człowiek, jak może, broni się przed doskonałością, ale niestety nigdy nie zabraknie takich, co go nakłaniają do niej, albo i zmuszają. W zwyczajny, brutalny sposób.

•

Najprawdziwsza sztuka sama dla siebie jest niespodzianką.

•

Po męsku należy znieść własną wielkość.

•

Satyra na koty
Kot złapał mysz i najpierw postanowił zabawić się. Puścił ją i kiedy myślała, że jest ocalona, łapał bez wysiłku. I dalej tak samo. Za piątym razem mysz nie drgnęła. Zlekceważyła swego mordercę.

•

Jak stosować przymus wobec rzeczy nieuchwytnych?

•

Okazuje się, że siła moich marzeń jest większa aniżeli siła woli. Bowiem spełniają się raczej moje marzenia, aniżeli postanowienia.

•

Chociażby z tej przyczyny otwierają się przed nami nieskończone możliwości, że nie wiemy, co zrobić z tymi, jakie mamy.

•

Przychodzi chwila, kiedy obojętność skał zamienia się w lawinę głazów.

•

Zbyt często człowiek nie ma wpływu na własny los, ale zawsze może go ocenić.

•

Iluż to ludzi nazwano awanturnikami! — Tylko dlatego, że szukali szczęścia.

•

Powiedziano mi, że pewien młody człowiek, mający taki a taki wzrost takiej a takiej tuszy, takiego to koloru włosy, odebrał sobie życie. A teraz idę ulicą i widzę, że ten i tamten tak wygląda i nie wiem, który to jest. Może więc zatrzymać jednego i spytać: — Czy jest pan tym, który powiesił się w wąwozie, przy tej pięknej alei z topolami? — Dzięki temu przekonam się, że ów człowiek jednak żyje.

•

Niejedno dzieło sprzeczne z wymaganym ideałem jest niespodziewanie piękne, na własny sposób.

•

Twój dowcip jest miękki, ale opasuje mnie jak wąż.

•

Nie życzę sobie, żeby używano moich grzebieni. Tu nikt nie dojdzie, kto od kogo dostał łupież.

•

Brzydota, która zdobędzie siłę, aby oderwać się od realizmu, staje się pięknem.

•

Pewnego dnia szyłam suknię, ale nie wyszła mi, jakiej pragnęłam. W ogóle nie była dobra. Dlatego nałożyłam ją spodem na wierzch, bo tutaj nie musi być doskonale uszyta. Każdy to rozumie.

•

Nikomu nie pozwolę skrzywdzić mojego miłego. — Najwyżej ja sama.

•

Na nieszczęście znudził się, stojąc u progu najwspanialszych możliwości.

Kamena str. 10

moje LEKTURY

Literatura na przecenie

W TELEWIZYJNEJ rozmowie, prowadzonej jak zawsze interesująco przez Aleksandra Małachowskiego, Urszula Kozioł mówiła pięknie o sytuacji pisarza. Możliwą do zniesienia czyni ją to, że na wiersz, na książkę ktoś c z e k a, że wyniku pracy twórczej ktoś potrzebuje. Pisarz nie może tego oczekiwania zawieść, musi dać z siebie to co ma najlepszego. Jest to jednak — wiemy doskonale — model idealny kontaktu na linii pisarz-czytelnik. A praktyka?

Bywa różna. Pojawiają się na pewno na rynku książki, na które nie oczekuje nikt, są książki obojętne, co niczym nie mogą do siebie czytelnika przyciągnąć. Te powinny pozostać na zawsze w tekach ich autorów. Muszą oczywiście być od tego wyjątki. Może się nie rozejść książka pisarza początkującego, który znajduje się na dorobku. Jest jeszcze pisarzem na kredyt, wiąże czyjeś nadzieje. Może spełni je dopiero czwarta i piąta książka?

Zawikłany i niedobry los naszej książki odsłaniają dokonywające się regularnie przeceny. Co pewien czas zachodzę w jednym z miast wojewódzkich do „antykwariatu współczesnego", który to szyld wisi nad zwykłą księgarnią książek przecenionych. Stali bywalcy tych księgarń — a są tacy! — wiedzą, iż trafiają się tam nie tylko różne „cegły", „chały" i „buble", przeciwnie — można w owych „antykwariatach współczesnych" napotkać nawet książki, których nie uświadczy w zwykłych księgarniach. Dochodzi do tego w prosty sposób. Po wykupieniu pierwszego rzutu książki „Dom Książki" nie zwraca się po dalsze egzemplarze. Widocznie ma po temu swoje powody. Może wszystek czas wypełnia mu sprzedaż nowości? W wyniku tego zdarza się, że książka — zdawałoby się — od dawna wyczerpana odnajduje się w wystarczającej ilości po przecenie. Więc książki są, tylko leżą w składnicach i magazynach. Dlaczego przed paru laty przeceniono „Listy" Prusa? Tylko dlatego, że czytelnik nie znajdował ich w miejscu oczekiwanym. Ale listy, także Orzeszkowej, Żmichowskiej czy Krasińskiego to sprawa odrębna. Książki epistolarne adresowane są mimo wszystko do wąskiego kręgu fachowców i miłośników tej literatury, więc problemem jest tu raczej wysokość nakładu.

Czy nie było jednak dostatecznej liczby czytelników dla „Głodu" Hamsuna, „Mateusza Bigdy" Kadena-Bandrowskiego, „Pruskiego muru" Zalewskiego, książki Kurka „Grypa szaleje w Naprawie"? Przecenie uległo wiele książek z serii „Głowy Wawelskie", wśród nich „Stare i nowe" Rudnickiego, „Romans z ojczyzną" Zawieyskiego, „Złote okna" A. Rudnickiego, książki Lema, Łopalewskiego, Brzechwy. O „Czarnym potoku" Buczkowskiego i powieściach Parnickiego już nie wspominam, mogą one bowiem liczyć tylko na niewielki i najwierniejszy krąg czytelniczy.

Osobną grupę stanowią pozycje z zakresu historii literatury, krytyki i estetyki. Pod dostatkiem jest „Przyjaźni i animozji" Śpiewaka, „Kwestii gustu" Ważka, trafiły do przeceny nawet „Klucze do wyobraźni" Jerzego Kwiatkowskiego, które — zdawałoby się — od dawna powinny być wyczerpane. Cóż się zresztą tej książce dziwić, skoro na tanią wyprzedaż poszły „Spotkania z ludźmi" L. H. Morstina czy taki bestseller jak Grzymały-Siedleckiego „Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim"!

Książki naukowe stanowią problem oddzielny: przeznaczone są dla specjalistów. Nieduże nakłady, wysokie ceny. Nic więc dziwnego, że po pewnym czasie „Bibliografia zawartości czasopism" kosztuje zamiast stukilkudziesięciu — parę, parenaście złotych, podobnie niektóre tomy „Nowego Korbuta", „Rocznika Literackiego", „Archiwum Literackiego" i inne. Któż jednak oczekiwałby tu spotkania z tomem prac Wacława Borowego „O Żeromskim"?

Nie chodzi oczywiście o listę tytułów i autorów. Te są jedynie przykładowe i pochodzą z bardzo krótkiego okresu. Chodzi po prostu o to, że przecena książek nie należy do chlubnych kart naszego księgarstwa. Jeśli cenę z 25 zł obniża się do jednej złotówki, to na pewno coś tu nie jest w porządku. To dewaluuje książkę, a nie wystawia stronom wpływającym na los książki najlepszego świadectwa. Jedno jest pewne: nie po stronie autorów znajduje się wina. Jeśli zalegają stosy złych powieści — winę ponosi firma wydawnicza, że znalazła dla nich miejsce w swoim planie. Ale jeśli przecenia się Wyspiańskiego, Struga, Orkana, Żeromskiego, a więc klasyków, to świadczy chyba tylko o tym, że „Dom Książki" jako całość nie umie sprzedać każdej dobrej książki, albo nie potrafi zainteresować nią czytelnika.

Obniżyć więc jeszcze nakłady? Może — nie wiem. Nakłady zbiorów poezji osiągnęły dopuszczalną dolną granicę, rzadko spotyka się je na przecenie. Może od razu dla książek pewnego typu ustalać nieco niższe ceny, nie narażając ich na późniejsze perypetie? Jakieś rozsądne wyjście powinno się znaleźć. Najlepszym partnerem wydawnictw w gospodarowaniu rozumnym resztkami nakładów mogłyby okazać się antykwariaty „Domu Książki". Przecież wiele książek wypchanych obecnie często przypadkowemu nabywcy za niedługi czas będzie przedmiotem poszukiwań. I nic nie powinno stać na przeszkodzie, by książki te w spokoju i godności, bez upokorzeń, czekały na swoje przeznaczenie.

Może nie mam racji? Problem jednak istnieje. Zanim go jednak ktoś rozwiąże, pójdę do „antykwariatu współczesnego", by za kilkanaście złotych przynieść kolejną pakę książek, które postawię na półce wcale nie ostatniej.

Tadeusz Kłak

Krzyżówka nr 10

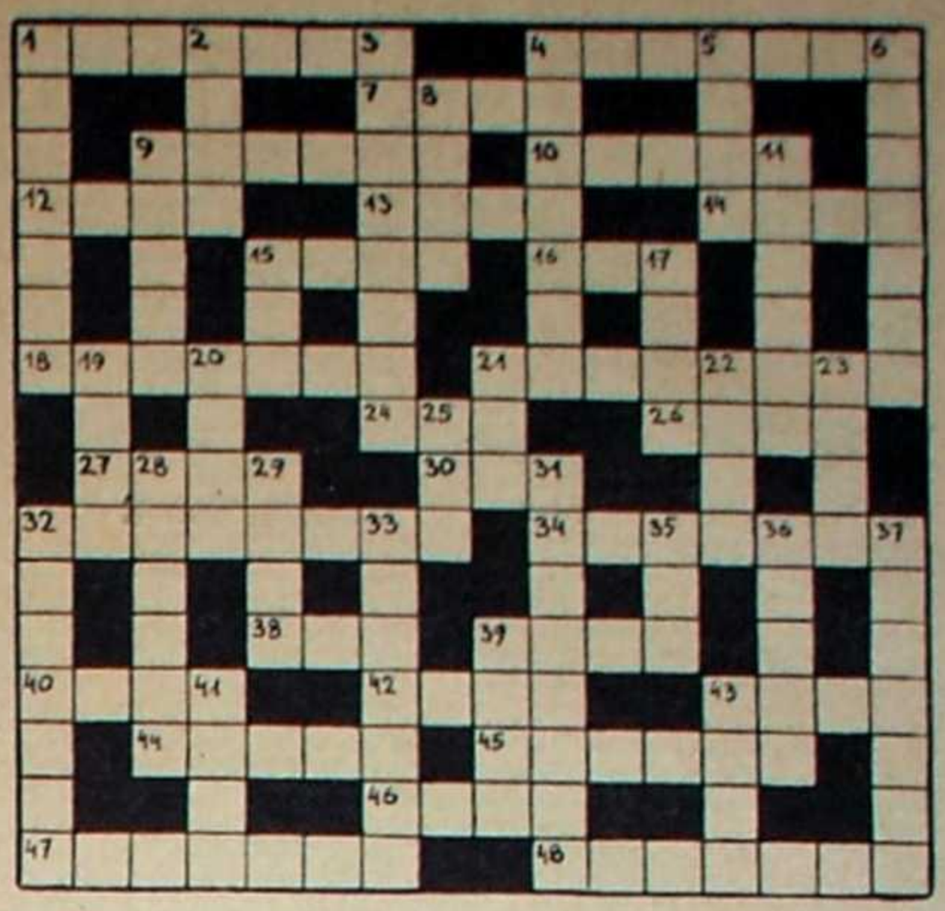

POZIOMO. 1. pisarz francuski, laureat Nagrody Nobla w 1915 r., 4. pisarz francuski, laureat Nagrody Nobla w 1952 r., 7. podmywa muzeum Florencji, 9. imię żeńskie, 10. nazwa, 12. miara długości, 13. imię wieszcza, 14. cel działania kidnaperów, 15. kantar, 16. ptak drapieżny, 18. miasto w Finlandii, znane z zimowych igrzysk olimpijskich, 21. pisarz duński, autor znanych baśni, 24. miara czasu, 26. chroni szyję, 27. bardzo niegrzeczny człowiek, 30. warszawski teatr studencki, 32. miasto laureat Międzynarodowej Nagrody Pokoju w 1950 r., 34. zamknięta szkoła kandydatów na duchownych, 35. woda wydzielana przez pory, 39. koniec wyścigu, 40. odbicie głosu, 42. imię Kischa, 43. elegancja, 44. miasto — twierdza husytów, 45. uporządkowane słowa, 46. pożywka bakterii, 47. metal wchodzący w skład stopu drukarskiego, 48. jednostka bojowa lotnictwa.

PIONOWO: 1. pisarz polski, laureat Nagrody Nobla, 2. gruby sznur, 3 francuski premier w czasie wybuchu II wojny światowej, 4. pisarz niemiecki, laureat Nagrody Nobla w 1902 r., 5. jechali po nie agronauci, 6. aktor angielski, laureat Międzynarodowej Nagrody Pokoju w 1953 r. 8. władza terenowa, 9. ilustrowana księga, 11. tłuszcz w jedzeniu, 15. pasieka, 17. zwierzę domowe, 19. glon, 20. polski pisarz okresu pozytywizmu, 21. część sztuki teatralnej, 22. stolica europejska, 23. wyspa zesłania Napoleona, 25. kąśliwy owad, 28. dramaturg niemiecki, laureat Nagrody Leninowskiej w 1954 r., 29. czepia się ogona, 31. rzeźbiarz francuski, laureat Złotego Medalu Międzynarodowej Nagrody Pokoju w 1952 r., 32. miasto włoskie, skarbnica zabytków, 33. uczestnik zakończonej wojny, 35. stolica Baszkirskiej ASRR, 36. sprzęt medyczny, 37. rodzaj siły pociągowej środka komunikacyjnego, 38. rzeka we Francji, Belgii i Holandii, znana z I wojny światowej, 41. wyspy życia na pustyni, 43. mierzy się ją dynami.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin skrytka poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 8 (Hasło brzmiało: „Nasi ulubieńcy z teatru, telewizji i filmu") nagrody wylosowali:

Zbigniew Piwarski, Brańsk, ul. Kościuszki 11, woj. białostockie, pow. Bielsk Podl.

Iraida Gromek, Jarosław, ul. 3-go Maja 68/24.

Jerzy Piotrowicz, Żary, ul. Chrobrego 7.

Marzena Kokot, Lublin, Żmigród 12/6

Z historii Lublina

O rzemieślnikach lubelskich w dawnych wiekach

Bronisława Lindert

W BIBLIOTECE im. Łopacińskiego wśród rękopisów znajdują się akta dotyczące cechów, które istniały w Lublinie. Ciekawe są akta cechu bednarskiego, do którego należeli też stolarze, stelmachowie, kołodzieje, powroźnicy i sitnicy. Dowiadujemy się z nich nie tylko o przywilejach nadawanych przez królów polskich cechowi, o wyrabianych przedmiotach i ich nazwach, ale także o życiu ludzi do tego cechu należących. Życiu temu poświęcę słów kilka.

Miejscem pracy rzemieślników był, podobnie jak dzisiaj, warsztat. W warsztacie obok mistrza, zwanego też ojcem, pracował towarzysz, dacel, który mógł zostać towarzyszem, i wężowiec, który nie mógł być ani dacelem ani towarzyszem.

Towarzysz czy dacel zjawiał się w warsztacie wcześniej od mistrza, robił porządek i przynosił wody w antamik. Po zakończeniu pracy sprzątał narzędzia bacząc pilnie, by czegoś nie brakowało. Brakujące bowiem rzeczy musiał albo odkupić, albo dorobić. W czasie pracy mistrz mógł wysłać towarzysza z towarem do miasta, przestrzegał go jednak, by otrzymanych za towar pieniędzy nie chował ani za listwę, ani za czapkę, ani do kieszeni czy mieszka, gdyż mogły pomieszać się z jego własnymi i stać się powodem nieporozumienia. W zamian za dobrą i uczciwą pracę dostawał od mistrza na piwo, miał też *na każdą noc łóżko usłane i koszulę na każdy dzień uprano.*

Bywało, że mistrz zapraszał towarzyszy do siebie na wieczerzę, a ci w drodze powrotnej urządzali w mieście burdy, to jest siekali bramy, czyniąc sobie ścieżki za mury, krzesali szablą albo podkowami po bruku, obcinali wieńce, które wisiały nad winem lub piwem, tablice i krzyże, które wisiały nad miodem i malmazją, obcinali także obręcze z beczek, które znajdowały się na ulicach *na miejską potrzebę.* Burdy te kończyły się czasem aresztem, chwilowym lub dłuższym, w zależności od stopnia przewinienia.

Wspólne zebrania i zabawy mistrzów, towarzyszy i daclów odbywały się w karczmie, jedynym wówczas ośrodku życia towarzyskiego w miastach i miasteczkach. W czasie tych zebrań towarzysze i daclowie uczyli się dobrego wychowania, dobrych obyczajów, które obowiązywały w świecie rzemieślniczym. Oto jak powinien zachować się towarzysz wędrowny, kiedy przybywa do mistrza: *Tam gdy przyjdziesz masz mówić mistrzom, towarzyszom „pomaga Bóg", tam masz się pytać, bo ich tam będzie jeden albo dwa lub trzech w warsztacie, co jest czy p. ojciec czyli też towarzysz, bo czasem bywa p. ojciec młodszym a towarzysz starszym, tam się masz kłaniać mistrzom od mistrzów, towarzyszom od towarzyszów, daclom od daclów, pani matce, jak będziesz umiał, dziweczce, jak będziesz najlepiej rozumiał, ale mianowicie masz mówić: mistrze i towarzysze dali się kłaniać z stołecznego miasta N., tam ci p. ojciec odpowi „daj Bóg byli zdrowi" i z posłem znowu masz żądać p. ojca tak a tak. Z wolą waszą p. ojcze łaskawy, żądam jako cnego a godnego p. ojca o tłomoczka złożenie, nożkom odpocznienie, przy tym o dobrą wolę według rzemiosła naszego...*

Towarzysze bowiem uczyli się rzemiosła wędrując do innych miast nie tylko w Polsce, ale i poza jej granicami. Towarzysze lubelscy docierali do Węgier, Czech i na Morawy. Uczyli się u mistrzów albo *na lata* albo *na pieniądze.* Ważniejsza była nauka *na lata,* gdyż wtedy tylko mogli być wyzwoleni, otrzymać *przemianek i podkow.* W swych wędrówkach spotykali się z życzliwością i pomocą kolegów, o czym świadczy powiedzenie: *gdyby mi dał pan Bóg nadwędrować towarzysza za bromą albo za miastem, gdzie powinienem się wrócić, towarzyszowi szynk szynkować, sprawę sprawować dobrą wolą czynić.*

Cechą ówczesnego lubelskiego świata rzemieślniczego była nie tylko codzienna, ciężka nieraz praca, zabawy i wędrówki po świecie, ale także ukochanie języka polskiego, o czym świadczy nauka dawana towarzyszom przez mistrzów: *Także abyście cicho po łacinie ani po węgiersku nie gadali, tylko tym cnym a godnym językiem,* wreszcie troska o wysoki jak na owe czasy poziom kulturalny i etyczny.

Listy do KAMENY

„Szansa"

W artykule pt. „Szansa", zamieszczonym w „Kamenie" nr. 7, zostało sformułowane następujące stwierdzenie: „Ostatnio nie kto inny jak przewodniczący Rady Zakładowej w Azotach zamierzał pozbawić teatr dotacji, proponując przekazanie tych pieniędzy na cele... socjalno-bytowe. Wtajemniczeni mówią, że przewodniczący oraz jeden z zastępców dyrektora są obrażeni na teatr za to, że w roku ubiegłym nie podziękował on tym właśnie osobom na jakiejś uroczystości".

W tej sprawie rzeczywiście zabierałem głos na posiedzeniu Konferencji Samorządu Robotniczego w dniu 6 lutego, jednakże moja wypowiedź została zinterpretowana opacznie ... Podkreślam więc, że celowość dalszych wydatków na utrzymywanie teatru stawiałem tylko pod dyskusję w aspekcie równoczesnego braku środków na konieczną, natychmiastową poprawę warunków pracy w jednej z wytwórni tut. Kombinatu.

Nie wyrażałem zresztą tylko własnego poglądu na potrzebę preferowania wydatków przede wszystkim na poprawę warunków pracy. Dopominała się o to załoga w toku bieżącej kampanii sprawozdawczej Rady Zakładowej w formie rejestrowanych wniosków. Pod adresem administracji skierowałem zresztą w tymże wystąpieniu szereg innych pytań, związanych zarówno z tą sprawą jak i realizacją innych zadań z zakresu spraw socjalno-bytowych załogi.

Uważam więc, że sugerowanie mi osobistych zamiarów przekazania dotacji finansowych teatru jest wielkim nieporozumieniem, a stwierdzenie, że obraziłem się za jakieś niedopatrzenie z podziękowaniem ze strony jego przedstawicieli wręcz krzywdzące.

Gotów jestem udzielić na ten temat bliższych informacji. Zapraszam do Zakładów Azotowych. Z poważaniem

Zenon Szczypa

*

W numerze 7 (466) waszego pisma, w artykule pt. „Szansa", którego autorem jest Jerzy Dostatni, przeczytaliśmy ze zdziwieniem akapit dotyczący naszego teatru. Została w nim podana następująca wiadomość: „Ostatnio nie kto inny jak przewodniczący rady zakładowej w Azotach zamierzał pozbawić teatr dotacji, proponując przekazanie tych pieniędzy na cele ... socjalno-bytowe. Wtajemniczeni mówią, że przewodniczący oraz jeden z zastępców dyrektora są „obrażeni na teatr za to, że w roku ubiegłym nie podziękował on tym właśnie osobom na jakiejś uroczystości..."

Ponieważ nie udzieliliśmy nikomu takiej informacji oraz wiemy, że jest ona fałszywa, prosimy o sprostowanie tego oskarżenia. W przypadku podtrzymywania go przez redakcję, prosimy o podanie pochodzenia powyższej wiadomości.

Sprawa naszego teatru jest dyskutowana w Zakładach Azotowych, lecz, o ile wiemy, bynajmniej nie w trybie „przekazania pieniędzy na cele socjalno-bytowe" — chociażby dlatego, że fundusz teatru jeszcze nie istnieje, zaś potrzeby socjalne rozpatrywane są niezależnie od potrzeb kulturalnych. Nie miała także miejsca żadna oficjalna uroczystość, która stworzyłaby okazję do „podziękowań" przedstawicielom Zakładów, a o żadnym „obrażonym" nie słyszeliśmy. Z poważaniem

Małgorzata Dziewulska

Zespół Teatralny
Zakładów Azotowych
w Puławach

„Federacja niecierpliwych"

W artykule „Federacja niecierpliwych", który ukazał się w „Kamenie" nr 9 z bieżącego roku, przytoczono wniosek ostatniego zjazdu stowarzyszeń regionalnych Lubelszczyzny w Nałęczowie, zmierzający do utworzenia federacji wojewódzkiej tych stowarzyszeń, poparty, o ile dobrze zrozumiałem, także przez redakcję. Chciałbym więc i ja, choć nie jestem „profesjonalnym" regionalistą, a tylko młodym jeszcze człowiekiem o skłonnościach do jakiegoś społecznego działania, poprzeć tę ideę. Widzę w niej szansę wciągnięcia do regionalizmu młodzieży, dzisiaj omijającej ten ruch. Wierzę, że federacja to nie tylko skoncentrowanie rozproszonych często wysiłków jednostek, lecz również obietnica unowocześnienia regionalizmu, ukierunkowania go na zagadnienia życia współczesnego, przesycenia treściami obchodzącymi ludzi młodych.

Piszę o tym również na marginesie artykułu „Przecież pustce", który ukazał się w „Kulturze i Życiu" z 18 kwietnia br., którego autorka nie znajduje „uzasadnienia dla tworzenia dodatkowej formy organizacyjnej, a jakiekolwiek administrowanie tym samorodnym ruchem mogłoby mu przynieść więcej szkód niż pożytku". O ile wiem, przysłuchiwałem się w końcu obradom zjazdu, nikt nie zamierza administrować tym ruchem, tylko mu pomóc przez stworzenie płaszczyzny wymiany doświadczeń oraz czegoś w rodzaju ciała reprezentującego stowarzyszenia wobec władz. Wojewódzka Komisja Rozwoju Kultury — na którą powołuje się autorka — nie jest w stanie zastąpić proponowanej federacji, choćby z tego względu, że zakres jej działania wydaje się niepomiernie węższy od problemów podejmowanych już teraz przez towarzystwa.

Jan Wiśniewski

Zamość

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), TADEUSZ KŁAK, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Numer łamał WIKTOR MUDA.

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 25

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-53, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-25

Korespondencje zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

L.Z.Graf. Zam. 1075. 22.IV.71. 19.464. A-5

MINUTA MYŚLENIA

Próba wrocławska

OTRZYMAŁEM przesyłkę pocztową zawierającą numer czasopisma „Kontrasty Odrzańskie" wychodzącego we Wrocławiu, redagowanego przez tamtejszy Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy, a będącego — jak się należy domyślać — nieregularnym periodykiem. Zastanowiło mnie przede wszystkim, że przesyłka została skierowana na adres felietonisty, a więc nie fachowca od krytyki literackiej, lecz kogoś, kto pisze o nieporządkach w barze mlecznym, o bezduszności w urzędach, o ogłupiającej zabawie w suknie mini i suknie maxi, o wiecznym nieprzestrzeganiu rozkładu jazdy w miejskiej komunikacji. Czy jest w tym skromność oceniająca wartość zjawiska kulturowego w kontekście niedomagań handlu i administracji, czy votum nieufności w stosunku do krytyki, która w tym widzeniu nie jest kompetentna ferować artystyczne opinie? Nie wiem, ale ponieważ przesyłkę otrzymałem ja, nie zaś mój kolega przy sąsiednim biurku, muszę z narzuconego mi niejako obowiązku wywiązać się we własnym imieniu. Uwagi obecnie zyskują swą aktualność przez dyskusję na temat literatury młodych toczoną do niedawna przez „Kulturę", obecnie przez „Współczesność", a również i przez „Kamenę".

A więc literatura młodych. Niezależnie od tego, że wymienione zjawisko istnieje, budzić musi zastrzeżenie przesadna tendencja do nadawania mu autonomii tematycznej. Powstała nawet pewna obsesja terminologiczna, której nie ustrzegły się także (przecież dobrze redagowane i ciekawe w treści, o czym nieco później) „Kontrasty Odrzańskie": przymiotnik „młodoliteracki" w słowie wstępnym od redakcji używany tam jest z upodobaniem do grzechotki ze strony małego bobo. Przede wszystkim należy zauważyć, że coś z mody, a więc pozareflekcyjnego odruchu, ma tendencja do ferowania tej krytyczno-stylistycznej etykietki. Młodzi snobują się nieco na styl „pokoleniowy" nie bardzo wiedząc, jakie treści za tym przymiotnikiem trzymają. I kłopot byłby ze zdjęciem parawanu, bo mogłoby się okazać, że nie ukrywa niczego.

Co bowiem? Protest przeciwko „literaturze starych"? Wspaniale, nie byłoby nic bardziej pożądanego. Ale cóż to za protest, jeśli wyraża się w... prolongowaniu twórczości pokolenia, które się zwalcza publicystycznie? Kiedy się pisze artykuł, jest on przeciw, ale kiedy się pisze wiersz, jest on za. Bo na dobrą sprawę prezentuje tę samą postawangardową konwencję wzbogaconą o dodatki turpistyczne, nihilistyczne i rozpaczliwistyczne (można inteligentniej dodać: strukturalistyczne, leksykalistyczne itp.), która via Przyboś — Różewicz — Białoszewski czerpie swą energię jeszcze z „Linii", jeszcze ze „Zwrotnicy". Cóż mówić o buncie? Czy w poezji młodych i najmłodszych zarysowała się możliwość praktyki poetyckiej nawiązującej do przykładu Czechowicza, Leśmiana, choćby Tuwima? Mówię „nawiązującą" — nie proponuję naśladownictwa. Chodzi mi o to, że jeden jedyny wzorzec poetycki (od poetyka, nie od poezja), mianowicie ten architektoniczny, „równaniowy", pozbawiony elementów spontanizmu, wizyjności, muzyczności, obraca się na wszystkie sposoby w przekonaniu o prowadzeniu poszukiwań. Że ten drugi jest dzisiaj niemożliwy? Być może, nie upieram się, ale proszę mi nie mówić, że np. krytykując sposób trzymania widelca przez Nixona piętnuję amerykański imperializm. Mogę to z powodzeniem czynić z pozycji partii demokratycznej, która również nie tęskni do równouprawnienia Murzynów.

Poza tym — „pokolenie", niestety, zdewaluowało się i jest kategorią bardziej metrykalną, niż artystyczną. Cóż bowiem wyróżnia generację? Pragnienie własnego pisma? To nie wyróżnik w ogóle, bo pragnienie nie nowe, a nie wyróżnik artystyczny przede wszystkim. No i wymowa obosieczna. Bo możliwa jest interpretacja i taka: widocznie twórczość młodych nie spełnia warunków „minimum artystycznego", skoro mimo otwartych drzwi redakcyjnych nie znajduje otwartych łamów. Tak, jest w tym coś z pozycji „nakładem autora". Czy taką pozycję chce zająć najmłodsze pokolenie? I gdzie jest jego artystyczne samostanowienie, odrębność od pokolenia „starych", na czym ma ona polegać, skoro często czyta się polemiki między młodymi, a nie czytało się nigdy rozprawy z pozycjami ich poprzedników? (Dodajmy też, że ostatnio częstotliwość pokoleń zwiększyła się wprost humorystycznie. Było „pokolenie 56", obecnie mamy „pokolenie 60". Trzeba być chyba przygotowanym na „pokolenie listopad 63" i „pokolenie kwiecień 64").

Ale to są uwagi adresujące w ogóle do atmosfery życia literackiego i intelektualnego dzisiaj, a nie specjalnie do wrocławskiego pisma, któremu niezależnie od „młodoliterackich" i „młodopoetyckich" fobii należy się nieco życzliwej uwagi. A skoro dotychczas było krytycznie i ma być aprobatycznie — też na zasadzie zwykłej odwrotki, bądź przewrotnego sprostowania jak w kawale zawartym w słowach: „nie prawdą jest, że moja żona używa hamaka jako biustonosza, natomiast prawdą jest, że ja używam biustonosza żony jako hamaka".

Otóż w numerze „Kontrastów Odrzańskich" z grudnia 1970 (nie wiem, jak pismo rozwija się dalej, a nie będę wiedział, jeśli redakcja uzna, że recenzja jest non grata) zjednują nawet takiego starego tetryka jak ja dwa zjawiska.

Po pierwsze — wyczuwa się tu mimo wszystko atmosferę niezależności swobody independencji w stosunku do istniejących kapliczek, która oby się jednak nie przekształciła w swawolę rodem z dziecinnego pokoju, po drugie — „zastanowienie z uznaniem" wywołuje ankieta na temat Leśmiana. Młodzi nie tylko widzą wartości tej poezji niezależnie od braku dla niej miejsca w systematyce postaw i kierunków współczesności, ale również wypowiadają wiele krytyczno-literackich określeń nader wnikliwie wydobywających piękno „Łąki" i „Sadu rozstajnego".

Tu dajmy brawo. Co z dłońmi następnie — zobaczymy.

Ijon

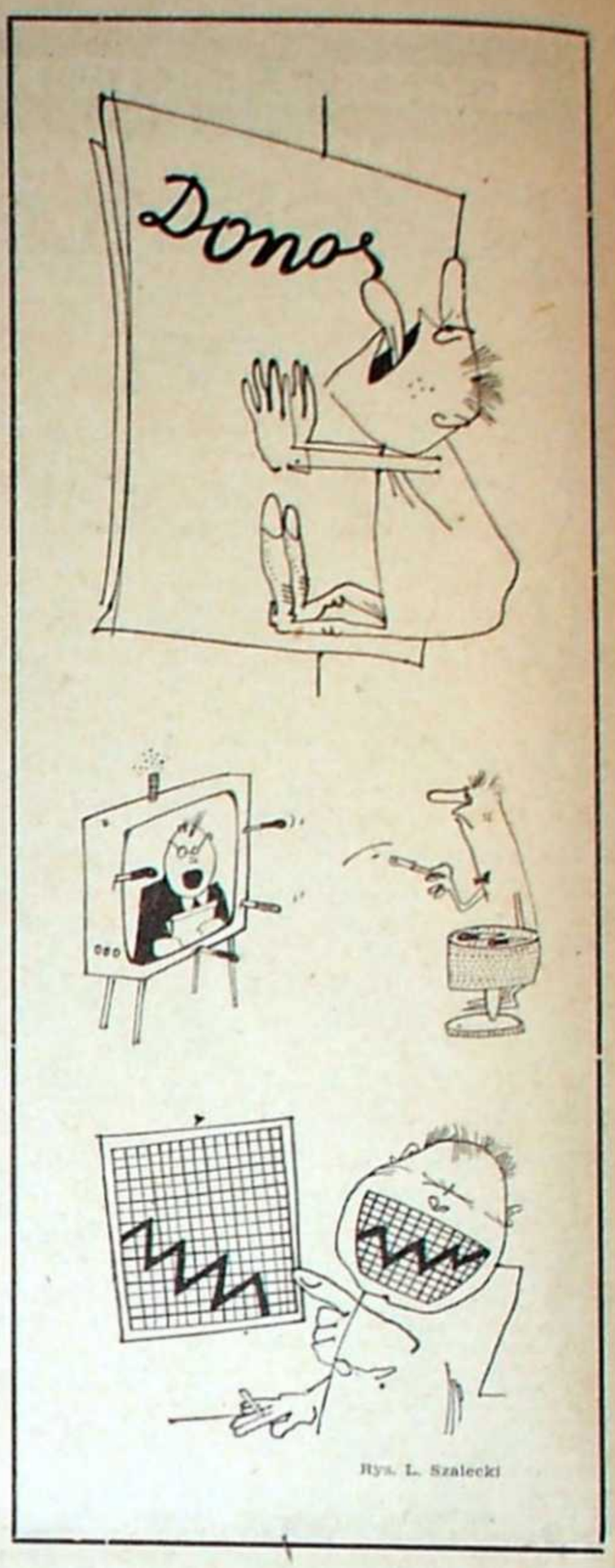

Rys. L. Szalecki

FALSETEM

Rządzimy światem?

STARY to dowcip, ale chcę go tu przypomnieć. Rozmawia ze sobą dwóch dżentelmenów. Jeden z nich stwierdza: — Ja się zajmuję tylko poważnymi problemami, a żona załatwia te drobne. — Poważnymi, to znaczy jakimi? — A no: rozbrojeniem, konfliktem na Bliskim Wschodzie, lotem na Księżyc. — A żona? — Żonie pozostawiam błahostki: wychowanie dzieci, zaopatrzenie domu, sprzątanie...

Chodzę po tym świecie, bywam tu i tam, oglądam to i owo. Dochodzę do wniosku, że nasze codzienne życie bardzo przypomina wspomniane małżeństwo. My rządzimy światem, a nami kobiety. Nie wiem, czy dla ogólnego dobra nie warto by sytuacji odwrócić.

Wyjeżdżam rannym pociągiem do Warszawy. Spieszę się, myślę, że coś przegryzę na stacji. Niestety, restauracja w remoncie. Pal licho, może coś zjem w wagonie. Ha, ha, ha. Człowiek mógłby skonać, a nie dostałby nawet szklanki czystej wody. Ale po drodze jest Dęblin, kilka minut postoju. Kompletna pustynia. Nikt nie zaproponuje oranżady, wody sodowej, nie mówiąc już o kanapce z baleronem.

Rozumiem, że naczelnicy stacji w Lublinie i Dęblinie mają wiele poważnej, odpowiedzialnej pracy. Ale wcale nie uważałbym tego za nepotyzm, gdyby ich małżonki zajęły się organizacją nakarmienia i napojenia podróżnych. Skoro uprawnione zakłady gastronomiczne debatują nad rozbrojeniem, pozostawmy je w cichej kontemplacji.

Polak głodny to Polak zły. I wówczas nie interesuje go, kto zarobi tę złotówkę na kanapce: pani naczelnikowa czy Wielkie Przedsiębiorstwo Dostarczania Obywatelom Kalorii w Ramach Usług dla Ludności. Obawiam się zresztą, znając tryby i trybiki Wielkiego Przedsiębiorstwa, że do tej kanapki ktoś tę złotówkę jeszcze będzie musiał dopłacić. Nawet wiem kto. Czytający te słowa wiedzą również...

W Warszawie nocuję w Domu Chłopa. Wieczorem wypada coś zjeść. Schodzę do restauracji, zajmuję miejsce przy pustym stoliku i wołam kelnerkę. — Tutaj nie obsługujemy. — Dlaczego? — Panie, ja mam tyle stolików, że nie mogę sobie dać rady. — A nie ma więcej kelnerek? — A no nie ma. Jak się zwolni miejsce przy tamtych stolikach, to panu podam.

Czekam kwadrans, nic się nie zwalnia. Ponieważ jestem piekielnie głodny, biegnę do pobliskiej „Stolicy". Obowiązuje konsumpcja. 70 złotych. Płacę, wybieram z karty indyka, piję oranżadę i bez specjalnego trudu realizuję kartę konsumpcyjną. RWS PRASA daje mi dietę. 31 złotych. Niestety, RSW nie rządzi gastronomią. Służy mi jednak papierem, mogę więc nań przelać swoje żale. Zwłaszcza, że indyk był nawet smaczny.

Następny dzionek. Chcę zatelefonować. Owszem, automaty nawet działają, ale książki telefonicznej nigdzie nie uświadczysz. Wiadomo, chuligani, trudno mieć do nich pretensje za to, że uczciwie niszczą czy kradną. Ale w Urzędzie Pocztowym naprzeciw „Cristalu-Budapest" jest tylko książka telefoniczna z numerami prywatnych abonentów. W Urzędzie Pocztowym nie ma książki z numerami instytucji! Tfu, pisząc o takim urzędzie nie należy używać dużych liter!

A może szanowny urząd zajmuje się wyprawą na Księżyc?

Warszawę mam z głowy, wracam do Lublina. Na Dworcu Wschodnim ile jest peronów? Pięć czy sześć. Nie dużo, ale wystarczy. Z którego odchodzi pociąg do Lublina? Żadnej tabliczki, żadnej informacji. Biegnie się z tunelu na górę i szuka. Trening przed wyprawą w Himalaje. Nie wybieram się. Ale właściwie dlaczego narzekam? Może w tej chwili naczelnik stacji krąży na gapę po orbicie wokół Ziemi?

Lublin. Trzeba zrobić sobotnie zakupy w sklepie na rogu ul. Bieruta i ul. Okrzei. Staję w jednej kolejce jako 21, potem w drugiej do kasy jako 26. Kasjerka liczy na skrawku papieru. Nawet dość szybko, ale znacznie wolniej niż maszyna. W pobliskim sklepie na początku ul. Bieruta są dwie maszyny liczące, tutaj żadnej, mimo że bloków i mieszkańców stale przybywa.

Naczelna Dyrekcja Sklepu uczestniczy chyba w rozmowach czteromocarstwowych na temat rozwiązania konfliktu bliskowschodniego. Serdecznie życzę jej powodzenia.

Napisałem, rozbroiłem się. Nareszcie mam czas, aby zająć się sytuacją w Pakistanie Wschodnim.

MAJ

NOTY i notki

„Weź tę łapę, powiedziałam tobie. / Wiesz z kim tańczysz? / Odpierniec, powiedziałam tobie. / Duża szajba. / Spadaj, bo dam w szambo" oto fragment wiersza Zygmunta Heutha, wydrukowanego w gańskich „Literach". To ma być taka saga o rybakach na Helu. Nie wiem tylko, czy w związku ze zbliżającym się sezonem urlopowym autorowi chodziło o odstraszenie wczasowiczów czy też wprost odwrotnie.

Najnowszym bestsellerem w USA jest „Love Story" („Opowieść miłosna") Ericha Segala. Prawie 19 mln egzemplarzy. Niektórzy twierdzą, że to coś w rodzaju trochę uwspółcześnionej naszej „Trędowatej". Ponieważ więc nie wypada nam pozostawać w tyle, Polskie Radio zaczęło nadawać (dwa razy dziennie) rodzimą „Trędowatą". Ale to nie wystarcza. W „Argumentach" (nr 17) Henryk Jankowski snuje dłuższe rozważania na temat insynuacji. Stwierdzając — zresztą słusznie — że walka z insynuacją jest niezwykle trudna, wzdycha z rozrzewnieniem: „Wielokrotnie krytykowany i wyśmiewany kodeks honorowy Boziewicza dawał jednak możliwość żądania w takich wypadkach satysfakcji". Jeszcze trochę, a któreś z naszych wydawnictw wyda kodeks Boziewicza, podobnymi bowiem sugestiami przed kilku laty rozpoczęto kampanię o upowszechnienie „arcydzieła" Mniszkówny.

Nie jestem obowiązany wiedzieć, czym jeszcze poza redagowaniem „Żywocika Literackiego" zajmuje się Brunon Miecugow. Wygląda jednak na to, że ma bardzo dużo wolnego czasu i dokładnie przegląda dzieła zbiorowe naszych klasyków. No i przyłapał „Kamenę" na błędzie w kilkuwierszowej notatce. Szkoda tylko, że Miecugow nie czytuje biuletynu kulturalnego PAP, którym jego koledzy zapełniają niemal dwie przedostatnie strony „Życia Literackiego". Notatki o wierszu Konopnickiej „Najkrwawsze pole", o którą chodzi, nikt u nas nie wyssał z palca, przedrukowaliśmy ją z owego biuletynu. Gdybyśmy każdą wiadomość PAP-u chcieli sprawdzać w encyklopediach, słownikach i dziełach zbiorowych, musielibyśmy „Kamenę" zamienić na rocznik. A Brunon Miecugow nudziłby się jeszcze bardziej.

Wygląda na to, że we Wrocławiu zaczęto w praktyce stosować zupełnie nową politykę kadrową. Oto w „Kurierze Polskim" (nr 96) ukazało się pokaźne ogłoszenie takiej treści: „Kandydatów na dyrektorów przedsiębiorstw oraz zastępców dyrektorów ds technicznych i ekonomicznych poszukuje (...) Wojewódzkie Zjednoczenie Budownictwa Komunalnego". Jest w tym tylko jeden mankament. Gdy np. MPK potrzebuje kierowców, ogłasza, że przyjmuje tych, którzy posiadają I lub II kategorię prawa jazdy i zapewnia przeszkolenie. Od poszukiwanych dyrektorów natomiast nie wymaga się niczego i nie zapewnia im się żadnego przeszkolenia.

„Jedna z największych na świecie elektrowni cieplnych powstaje w stanie Ohio (USA). Całkowita moc zainstalowanych w niej turbozespołów wyniesie 2,6 MW" — donoszą „Nowiny Rzeszowskie" (nr 109). Hm, w Puławach jest dwukrotnie większa.

Słusznie krytykując nieprawidłowości w życiu studenckim, niejaki A. Itke domaga się w ostatnich „Konfrontacjach" („Kurier Lubelski" nr 95) zalegalizowania waletowania w domach akademickich. No cóż — waleci byli, są i będą. Ale gdyby ich istnienie zalegalizować, to wkrótce okazałoby się — panie Itke — że w domach akademickich mieszka tylko kilkunastu prawnych lokatorów, natomiast olbrzymią większość stanowiliby właśnie owi waleci. I co wtedy? Z waletowaniem trzeba jednak walczyć, ale umiarkowanie, by nie wyginęło, bo przecież mimo wszystko to jeden z pięknych aspektów studenckiego życia.

„Kościół katolicki uczy, że odruchy wrogie bliźnim są nam wrodzone, i zwie je jak wiadomo grzechem pierworodnym" — pouczają „Kierunki" (nr 17). Przysięgam, iż mój poczciwy katecheta uczył nas w gimnazjum, że grzech pierworodny to zupełnie co innego. I że ten grzech zostaje zgładzony przez chrzest. I że nie był ten grzech odruchem wrogim wobec bliźniego — lecz odwrotnie.

Jeśli już o tej tematyce mowa, to warto zatrzymać się nad opowiadaniem „Galopada" Józefa Łozińskiego („itd" nr 17), które to opowiadanie zostało wyróżnione 3 nagrodą na konkursie „itd" i „Życia Literackiego". Całe opowiadanie można streścić tymi oto cytatami": „Co się stało, Blind? — to Krzychu. — Namiętności chłopaczka ogarnęły. Przywiązał się, żeby mu dać. (...) Nie pójdę dalej — krzyknęła Blind. — Słyszysz, kretynie, nie pójdę. — Ale dlaczego? — Bo nie. Wolę tu czekać na tego hipka i dać mu. Tak. Dać mu, wyobraź sobie". Trzecią nagrodę?

JOD

FELIETON Z REZERWY

Z pomocą „Zwrotnicy"?

PIĘĆ lat temu, po wystawie jubileuszowej lubelskiego związku plastyków, której katalog osobiście zaopatrzyłem w szkic traktujący o historii owego związku, napisałem nieco ironiczny felieton o odświętnej ekspozycji, co momentalnie, na drugi dzień po ukazaniu się publicystycznego drobiazgu, uruchomiło telefon na linii miasto — „Kamena". Różni ludzie, mniej lub bardziej społecznie uhonorowani, przekazali mi wprost, rzadziej „ogródkami", że popełniłem nietakt wielkiego kalibru, bo jak to, takie święto, a ja na spocznij i w ogóle bez znajomości polityki kulturalnej państwa, które plastyków popiera.

Dwa lata temu pewien plastyk lubelski chciał podać mnie do sądu za obraźliwą, jego zdaniem, recenzję wystawy malarstwa, która zaaplikował publiczności. Ów członek ZPAP był przy tym zasłużony z wielu dziejowych względów, o czym jakoś zapomniałem przy pisaniu sprawozdania z jego wystawy. Sztuka sztuką — relacjonowano mi refleksje adwersarza — ale przecież człowiek się zasłużył, więc nie należy go tak traktować.

Tydzień temu do redakcji nadszedł list, podpisany i z adresem, raczej fikcyjnym, choć nie jesteśmy tego pewni, w którym m.in. ochrzczono mnie matołem, idiotą, zawracającym d... uczciwym obywatelom, co podaję gwoli radości moich różnopostaciowych nieprzyjaciół. Autor pogniewał się na mnie, że ośmieliłem się ujawnić publicznie pogląd na społeczne racje imprezy pod nazwą „Obrazy inscenizowane", zorganizowanej przez lubelskie BWA.

Od pierwszych dni swojej publicystycznej egzystencji nie nazwałem nikogo matołem czy idiotą, choć przyznać muszę, że cenię sobie słowa jednoznaczne i w miarę przyzwoitości ostre. Okazuje się przecież, że do sztuki nie wolno u nas zbliżać się z własnym zdaniem, zawiniętym choćby w ironię. Jakże mi jednak daleko do metod polemicznych stosowanych choćby w dwudziestoleciu międzywojennym! Z pokorą wyznaję, że nigdy nie korzystałem z soczystego rejestru możliwości językowo-stylistycznych, stosowanych w ówczesnych dyskusjach, a które zna zapewne i akceptuje autor wspomnianego listu. Nie korzystałem i chyba nigdy nie weźmie mnie ochota na zmianę orientacji, bo widzę granicę między ostrym formułowaniem własnej opinii o obrazie na przykład, a wściekłym obijaniem goleni jego autora. Ale tej ostrości, rzetelnej ostrości, coś przecież mało dziś w naszej krytyce, która ani gorąca, ani zimna — letnia w końcu, potakująca tym i tamtym. Cieszy więc, że pan, drogi autorze paszkwilu, podjął heroiczny trud ożywienia współczesnych dyskusji, smuci jednak, że zabrakło panu oddechu i skończyć pan musiał na epitetach. W dwudziestoleciu międzywojennym obrzucano się inwektywami — czasami to dziś śmieszne, częściej żałosne — lecz przy okazji stare o sprawy istotne sztuki. Aby nie być gołosłownym, dwa cytaty z Peiperowej „Zwrotnicy".

„Wstęp do II-go wydania „Powsinóg beskidzkich" odsłania nam pewniej duchowość Zegadłowicza, niż beczki jego wierszowanej wody. Łajniarz. Bezwstydny skatolog ewangelii, udający poetę...

W imię rygoru moralnego i artystycznego, który wyznajemy, trzeba potępić kłamstwo i nierzetelność tych, którzy własną nieudolnością poetycką starają się zamaskować niezaprzeczalną wzniosłością tematu. Im gorszy pisarz, tem uporczywiej trzyma się zagadnień przerastających go o głowę. Naturalnym prawem zemsty dobija takie obrazoburstwo samego świętokradcę, odsłania wszystką miernotę jego umysłowości. Teposz dopiero w gronie pojętnych ujawnią całą swoją głupotę, cham najbardziej oburza nas swoją wieprzowatością w świątyni — w obliczu spraw świętych i nieskalanych. Powroźa na was przekupnie szwargocące w świątyni Pańskiej. Bata wam chamy, chamuły!" Kto tak napisał? Julian Przyboś!

Tytus Czyżewski nie odstaje od Przybosia — zarówno sposobem wyrażania swoich opinii, jak też trafnością obserwacji:

Muzea „sztuk pięknych przepełnione zawieszonymi bez ładu i systemu miernymi bazgrotami protegowanych eunuchów, którzy właśnie dlatego, że byli lub są eunuchami artystycznymi — znaleźli protektorów i nabywców. Galeria lwowskie, krakowskie, poznańskie i warszawskie — przepełnione lichymi kopiami, które przez rodzimych znawców lub sprytnych kolekcjonerów uznane zostały za „oryginały". Piwnice muzealne zapełnione gnijącymi depozytami".

Słowa te zostały napisane niemal pół wieku temu. Coś z nich się zestarzało, tylko co? Sam sposób wypowiedzi i rejestr epitetów, dziś możliwy tylko w anonimach, na pewno. Na pewno też nie spotkamy obecnie w recenzjach i artykułach krytycznych tego klimatu żarliwej obrony własnych racji artystycznych i totalnej walki z przeciwnikami. Wczytajmy się jednak dobrze w teksty Przybosia i Czyżewskiego, trafiające w problemy sprzed lat pięćdziesięciu. Niech komentarzem przewodnim tej lektury będą wersety z „Kto ty jesteś?" Brylla — z roku 1970:

„Trzeba inaczej się odżywiać,
Gimnastykować się co rano,
By was w wyścigach nie
przegnano".

IJK

Odpowiedzi redakcji

„Irys" w Kocku. Poza śladami niezbyt dokładnie przetrawionych lektur szkolnych i młodzieńczą namiętnością do wierszowania, która zwykle dość szybko mija, niczego w tekstach nie mogliśmy się dopatrzeć. Życzymy pomyślności w szkolnych edukacjach polonistycznych. I nie trzeba się martwić. Jak wielokrotnie powtarzaliśmy — nie każdy musi być poetą. Bo cóż to by była za rzeczpospolita, złożona z samych twórców? Kto by dobra materialne wytwarzał?

J. F. we Włodawie. Możliwość publikacji, oczywiście, istnieje, szczególnie, że nie chodzi przecież o Pański debiut na łamach „Kameny". Cierpliwość byłaby cnotą, której należy Panu życzyć, jako iż tekstów zakwalifikowanych do druku mamy moc, a miejsca na nie bardzo niewiele. Skoro nie tak dawno publikowaliśmy Pańskie wiersze, trzeba będzie teraz zarezerwować najbliższe miejsce dla innych autorów. Radzi natomiast bylibyśmy dowiedzieć się, co słychać z artykułem na tematy folklorystyczne?

E. S. w Pyskowicach. Pragnie Pan, żeby Pańskie wiersze były wydrukowane. Nie chodzi Panu o sławę. Myśli Pan, że zadośćuczynimy Pańskiej prośbie, a jeśli nie będziemy w stanie, to poinformujemy, gdzie może się Pan zwrócić. Wierszuje Pan między innymi tak: „Chciałbym jak Mickiewicz pisać / Wiersze piękne i poematy. / Chciałbym pisać jak Słowacki / Na różne znane mi tematy". Powstaje szereg pytań. Po co pisać jak Mickiewicz czy Słowacki, skoro oni już to uczynili? Jak możemy wydrukować te wiersze, skoro faktycznie pisze Pan... znacznie gorzej niż Mickiewicz czy Słowacki? Jak możemy komuś Pana zarekomendować z czystym sumieniem, skoro pisze Pan znacznie gorzej niż itd.? Ma Pan 19 lat, więc żywimy nadzieję, że młodość nie dozwoli Panu popaść w krańcowy pesymizm. Na koniec jeszcze — dlaczego nie chodzi Panu o sławę?

J. L. w Kłobucku. Jakoś nie możemy sobie przypomnieć Pańskiej „dotychczasowej korespondencji". Może zresztą była takowa, ale utonęła w stosie innych tekstów (zespół redakcyjny jest mały, sekretarki specjalnie do spraw literackich nie posiadamy itd.). Co się natomiast tyczy wiersza „Samotny krzak", to razi on nas swoją jałową opisowością, z której żadne refleksje humanistyczne nie wynikają. Dziś pisarz wprawdzie zdejmuje z siebie szaty pocieszyciela i kapłana ludzkości, a chętnie wkłada kostium błazna, usiłuje bawić się literaturą, „grą znaczeń", ale Pańskie gry i zabawy słowne mało zabawne są i mało interesujące, to zaś całą rzecz kładzie z miejsca na łopatki. Pozdrowienia zasyłamy.

B. L. w Warszawie. Na Pani miejscu nie zaczynalibyśmy od wysublimowanej prozy parabolicznej, mającej ambicje penetracji „istoty bytu", lecz spróbowalibyśmy opisać jakieś zdarzenie z otaczającej nas rzeczywistości. Byłaby to szkoła, a w każdym razie sprawdzian, umiejętności obserwacji, przekładalności „widzianego" na język — słowem sprawdzian cech, które każdemu prozaikowi są potrzebne jako najzwyczajniejsze rzemiosło.

T. S. w Gliwicach, H. K. w Poznaniu, B. S. w Gdańsku, S. B. w Stalowej Woli, A. L. w Lublinie, „Kanow" w Jarosławiu, E. B. w Pustkowie-Osiedlu — na odpowiedź nie staje nam miejsca, w każdym razie z tekstów nie skorzystamy.